

W NUMERZE:

Spór o metodę (II) — Mieczysław Kabaj, str. 2 • Potrzeba jest śmiałości koncepcji dekomercjalizacji — Tadeusz Mrzygłód, str. 3 • Kto chce mieć rope musi wiercić — Władysław Świdrak, str. 3 • Refleksje ekonomiczne z Jugosławii (II) — Bronisław Miño, str. 4 • W Sądziecczyźnie nie zaczyna się od dzisiaj — Irena Wodnińska, str. 6.

NUMER (323)

47

W numerze 30 „Życia Gospodarczego” podaliśmy krytykę pierwszej wersji projektu ustawy o funduszu zakładowym, twierdząc — jak się okazało — że propozycje Ministerstwa Finansów założenia tego funduszu nie mogą być uznane za trafne, gdyż nie uwzględniają w dostatecznym stopniu czynnika przyrostu zysku, który powinien odgrywać rolę zasadniczą. Poza tym projekt był niezmiernie „drakoński”. Żaloga mogłaby uzyskać według niego 13 pensję dopiero przy wypracowaniu zysku aż o 70% wyższego niż w roku poprzednim, i to w dodatku przy niezwiększeniu zatrudnienia. Jest rzeczą jasną, że w normalnych warunkach byłoby to nieosiągalne.

Nowa wersja projektu ustawy o funduszu zakładowym, przedstawiona Radzie Ministrów przez Ministerstwo Finansów kilka tygodni temu, świadczy o wyraźnym postępie. Zasady tworzenia funduszu zakładowego oparte zostały tym razem w dużej mierze właśnie na przyroście zysku. Już ta zmiana wpływa pozytywnie na możliwości zwiększenia udziału załogi w zysku w porównaniu z poprzednim projektem.

Charakterystyczną cechą przedstawionego dokumentu jest wskazanie szeregu alternatyw rozwiązań w postaci 4 wariantów tworzenia funduszu. Z jednej strony może to być uważane za zaletę, gdyż pozwala czynnikom w tej sprawie decydującym na wybór wariantu najlepiej odpowiadającego założeniom zasadniczym i aktualnej sytuacji gospodarczej kraju. Z drugiej strony przedłożenie czterech różnych wariantów wskazuje, że brak zdecydowanego stanowiska autorów projektu.

Podając 4 warianty ustalania funduszu zakładowego projekt ustawy nie wskazuje, czy wszystkie cztery mają się znaleźć w ostatecznym tekście ustawy, aby dać resortom możliwość wyboru jednego z nich, najlepiej dostosowanego do specyfiki podległych przedsiębiorstw; czy też wybór ma być dokonany przez Radę Ministrów względnie Sejm i w ustawie figurować będzie jeden wariant, obowiązujący w ogólnej postaci wszystkich zakładów przemysłowych w kraju. Bliższa analiza projektu pozwala nam na przekonanie, że chodzi o to ostatnie, albowiem poszczególne warianty tylko na pozór są do siebie wzajemnie podobne, w rzeczywistości zaś każdy z nich przedstawia całkowicie odmienną treść ekonomiczną, wywołującą odmiennie różne skutki w działalności przedsiębiorstwa.

Za poważny mankament projektu należy uznać brak jakiegokolwiek uzasadnienia poszczególnych wariantów, co jest tym bardziej niepożądane, że zwięzłe, skąpe w słowach ujęcie postulowanych przepisów stawia rzeczywiście wysokie wymagania każdemu, kto chciałby

zorientować się w sensie ekonomicznym projektu. O tym, jak łatwo potknąć się przy ocenie przedłożonego projektu ustawy świadczą choćby artykuły A. Żmudy pt. „Na nowych zasadach”, opublikowany w „Trybunie Ludu” z 11 listopada br., do którego jeszcze powrócimy.

Wszystkie 4 warianty przewidują, że fundusz zakładowy tworzyć się będzie z dwóch składników: z odpisu zasadniczego, obliczonego w stosunku 3 do 6% osobowego funduszu zysku co najmniej równego zyskowi z roku poprzedniego, przy czym odpis ten ulegałby proporcjonalnej redukcji przy osiągnięciu niższego zysku, oraz odpisu dodatkowego, którego podstawą ma być przyrost zysku.

Jeśli chodzi o odpis zasadniczy — to zasady na jakich został oparty nie budzą wątpliwości. Pomijając w tej chwili kwestię wysokości stawki (której ustalenie zależy od oceny możliwości gospodarczych kraju) sam fakt przyznania prawa do pewnej części fun-

Zastanówmy się chwilę, do czego prowadziłoby postawienie przed przedsiębiorstwami zadania maksymalizacji stopy zysku? Najogólniej rzecz biorąc, można na to pytanie odpowiedzieć, że przedsiębiorstwo byłoby wtedy zainteresowane nie w zwiększaniu produkcji i wzroście ogólnej sumy zysku, lecz na odwrót — byłoby zainteresowane w ograniczaniu produkcji jedynie do najbardziej rentownego asortymentu, do zatrudnienia tylko najbardziej sprawnych pracowników, a więc do niewykorzystania zdolności produkcyjnej i możliwości wzrostu dochodu narodowego. Jeśli np. zakład produkujący w 1957 r. 3 wyroby: A — przynoszący stopę zysku 8%, B — 6% i C — 5%, to najprostszym sposobem powiększenia stopy zysku na 1958 r. będzie po prostu rezygnacja z produkcji B i C, a ograniczenie produkcji tylko do A. Proszę pamiętać, że nie chodzi tu wcale o zwiększenie produkcji A kosztem B i C, lecz o zwykłą rezygnację z produkcji B i C, przy utrzymaniu produkcji A na dawnym poziomie. Efekt będzie

pojawiają się w poważnych dokumentach i do tego znajdują poparcie w poważnych dziennikach.

Wariant III jest na szczęście wyjątkiem. Wszystkie inne opierają się już na słusznej zasadzie maksymalizacji masy (sumy) zysku jako podstawy odpisów na fundusz zakładowy. To jednak nie znaczy, że wybór między wariantem I, II i IV jest już sprawą obojętną.

Oto wariant I. Metoda odpisu zasadniczego w porządku (mimo nieco odmiennego sformułowania jest w gruncie rzeczy taka sama, jak w pozostałych). Przyjrzyjmy się jednak metodzie odpisu dodatkowego (od przyrostu zysku), który odgrywać powinien główną rolę w systemie.

Odpis dodatkowy obliczany jest w wariantach I i IV przyrostu zysku według stawki o 25 do 75% wyższej od stawki odpisu zasadniczego. Na pozór wydawałoby się, że wszystko jest w porządku. Uwzględniona została zasada preferencji przyrostu zysku, co jest słuszne i ekonomicznie uzasadnione. Jeśli jednak metodę tę przeanalizować nieco dokładniej, to okaże się, że działa ona raczej hamująco na wywołanie właściwych bodźców ekonomicznych. Spróbujmy pokazać to na przykładzie badając zagadnienie zarówno w czasie (chodzi o dynamikę kształtowania się z roku na rok wielkości funduszu zakładowego dla jednego przedsiębiorstwa), jak i „w przestrzeni” (chodzi o porównanie wielkości funduszu zakładowego dla przedsiębiorstw różnych rentowności i mniej rentownych).

Załóżmy, że w roku wyjściowym wartość produkcji towarowej określonego przedsiębiorstwa (W₀) wynosi 10 mln zł, koszty produkcji (K₀) — 9 mln zł, osobowy fundusz płac (V₀) — 5 mln zł, a zysk (m₀) — 1 mln zł. W następnym zaś roku przy niezmienionej wartości produkcji towarowej i malejącym do 4,5 mln zł funduszu płac (V₁), koszty własne (K₁) maleją do 8 mln zł, a więc zysk (m₁) osiąga wielkość 2 mln zł, czyli przyrost zysku (Δm) wyniesie 1 mln zł.

Stosując zasady wariantu I i przyjmując zasadniczą stawkę w wysokości 5% łatwo obliczyć, że stawka odpisu zasadniczego wyniesie w tym roku 25%, a więc odpis ten również się będzie sumie 500 zł na osobę. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli tylko nie występują jakieś szczególne okoliczności (np. brak surowców) — zatrudnienie dodatkowych robotników jest niezmierznie korzystne dla gospodarki narodowej, zwiększa bowiem rozmiar dochodu narodowego i daje dodatkowy zysk. Ale przedsiębiorstwo, które zmierzać będzie do maksymalizacji stopy zysku — nie uczyni tego. Wzrost produkcji przyrostu by bowiem spadek stopy zysku. Jakże smutnie wyglądałoby przy tym systemie dążenie do ekspansji produkcyjnej, wprowadzenia nowych asortymentów itp.!

Trochę wstyd pisać o tego typu truizmach, powtarzanych w każdym podręczniku ekonomii. Cóż jednak zrobić, kiedy szkolne błędy

»PRAWO SPADAJĄCYCH PRZYCHODÓW«

JÓZEF ZAWADZKI

Sprawa „prawa malejących przychodów” stanowi od wielu dziesięcioleci przedmiot gorących polemik. Ostatnio z obroną tego prawa wystąpił prof. W. Stys (por. artykuł „Zagadnienie intensyfikacji i opłacalności produkcji rolnej”, Ekonomista 1957 Nr 4). Zdaniem autora dokładne zrozumienie tego „prawa” powinno pomóc politykom odpowiedziałym na naszą produkcję rolną w rozumieniu skutków ich polityki. „Gdy je zrozumieją, wiele z tych grzechów, które do tej pory popełniali, zostanie bezpamiętnie” (Ekonomista, str. 113, wszystkie dalsze cytaty będą zaznaczone jedynie przez podanie numeru strony). Poznanie „prawa” pomoże chłopom w walce o ich prawa oraz w praktycznej działalności gospodarczej.

Z czego wynika to ogromne znaczenie prawa, któremu do niedawna zaprzeczano kategorię ekonomiczną? W krajach socjalizmu (str. 102)? By podkreślić wagę tego „prawa” prof. Stys cytuje zdanie znakomitego ekonomisty angielskiego J. S. Mila, który twierdził, że gdyby nie było tego „prawa” wówczas wszystkie zjawiska w dziedzinie produkcji i podziału bogactw byłyby inne, niż obecnie. Prawo malejących przychodów jest prawem uniwersalnym, przenikającym całą działalność ludzi (str. 101 — 102).

Niedoceniane przez marksistów „prawo malejących przychodów” ma już długą historię. Pierwszy sformułował to prawo słynny francuski ekonomista Turgot, który na podstawie obserwacji faktów, doszedł do wniosku, że kolejne nakłady kapitału („avances”) na tym samym odcinku ziemi dają początkowo rosnące plony, zaś po przekroczeniu pewnego optimum dalsze nakłady dają coraz mniejszy przyrost plonu, aż wreszcie przyrosty wykazują tendencję zbliżania się do zera.

W nieco inny sposób uzasadnił to prawo Stuart i Ortes. Autorzy ci doszli do wniosku, że w miarę wzrostu ludności kraju dotychczas uprawiane pola przestają wystarczać dla wyżywienia ludności, powstaje konieczność uprawiania ziemi gorzej, na której te same nakłady kapitału i pracy dają gorsze plony (na hektar).

Ricardo przejął od tych ekonomistów ich teorię i zbudował na niej swoją słynną teorię renty różnicowej. Ricardo, a zwłaszcza jego uczniowie (Senior, J. S. Mill) dodawali jednak jedno niezwykle ważne ograniczenie: w okresach postępu technicznego prawo spadających przychodów ulega „zawieszeniu”. Ponieważ jednak — jak przypuszczano — istnieją ograniczone możliwości dla postępu techniki i nauki w rolnictwie, to okresy „zawieszenia” działania prawa są krótkotrwałe, natomiast jego działanie jest raczej regułą.

Ekonomiści okresu Ricardo przypuszczali, że domeną działania „prawa” jest rolnictwo. W rzeczywistości jednak — jako skutek szerokiego zastosowania postępu techniki i nauki — działa prawo rosnących przychodów. „Jednakże — jak informuje Stys — przeprowadzone w ostatnich dziesięcioleciach badania nad kosztami produkcji w przemyśle wykazały, że wzrastające koszty krańcowe stanowiące odpowiednik malejących przyrostów produktu nie są w przemyśle zjawiskiem niezwykłym, choć prawidłowość ta występuje tu z daleką mniejszą siłą niż w rolnictwie (101)”.

Ważąc, że posiada ono już określono ilość zabudowań, instalacji, maszyn itp. Przy pomocy tych przemian czynników produkcji może ono zatrudnić większą lub mniejszą ilość robotników, przerobić więcej lub mniej surowców, zużyć więcej lub mniej energii, paliwa itp.

Jest prawdą wprost banalną, że przy takim założeniu (które odpowiada rzeczywistości poszczególnych przedsiębiorstw w określonych odcinkach czasu) przekroczenie racjonalnych granic zatrudnienia itp. może dać spadające wyniki na jednostkę zatrudnienia. Jest to taka sama banalna prawda, jak to, że robotnik nie może pracować bez przerwy 24 godziny z jednakową wydajnością we wszystkich godzinach. Dla udowodnienia tego truizmu nie trzeba wyliczeń matematycznych, diagramów itp. Dowód prawdy został tu przeprowadzony już w chwili gdy sformułowano założenia. Inaczej mówiąc: to co miało udowodnić założono już w przesłankach.

Gdyby zatem ktokolwiek próbował przedstawiać istotę sporu w tej sprawie w sposób następujący: marksści zaprzeczają jakoby w określonych warunkach (statystycznym modelu) kolejne nakłady kapitału mogły dawać spadające przychody; albo, gdyby ktokolwiek próbował triumfalnie obwieszczać: marksści przyznają, że w określonych warunkach mogą zaistnieć spadające przychody, wycofują się ze swoich pozycji pod wpływem ich uczonnej krytyki — można im odpowiedzieć: panowie krytycy, stosujecie nieuczciwe chwytów polemiczne, „ustawiacie sobie przeciwników”, by ich łatwo obalić.

Abym więc zepsuć panom krytykom nieco smak zbyt łatwych triumfów przypomnijmy fakty:

1) Marks wcale nie odrzucał teorii Ricardo, jako wyjaśnienia jednej z możliwości. Sprzeciwiał się on traktowaniu procesu przechodzenia do uprawy ziemi gorzej jako jedynej możliwości i dowodził, że pojęcie ziemi gorzej wcale nie jest jednoznaczne. Ziemia gorzej z punktu widzenia wysokości plonów może być lepsza z punktu widzenia kosztów transportu jej plonów; ziemia gorzej z punktu widzenia uprawy jednych kultur może okazać się lepszą z punktu widzenia uprawy innych kultur; wreszcie, postępy techniki i nauki może przekształcić ziemię gorzej w lepszą.

2) Lenin wprost uznawał i to jako rzecz oczywistą, że w określonych warunkach granice dla dodatkowych wkładów kapitałów mogą się okazać niezmiernie wąskie. Wymienił on wprost warunki, w których „prawo” ma zastosowanie (por. Lenin, Dzieła t. V, str. 114).

A więc tacy niewątpliwie marksści jak Marks i Lenin stwierdzali 100 i 50 lat temu, warunkiem działania „prawa” spadających przychodów.

Czy wobec tego nie ma przedmiotu sporu? Owszem, przedmiot sporu istnieje, a najważniejsze jego punkty można by, wydaje się, sformułować jak następuje:

1) Marksści podkreślają, że działanie „prawa” posiada względne zastosowanie, dotyczy określonych sytuacji, określonych warunków, założonych hipotetycznie lub istniejących realnie. Niekiedy ich przeciwnicy twierdzą, że „prawo” posiada uniwersalne znaczenie, dotyczy krótkich i długich okresów czasu, jest niezależne od zmian w technice.

Na potwierdzenie podaje następujący wywód prof. Stysia: „Przy omawianiu wpływu postępu technicznego na bieg krzywej krańcowego przychodu popełniamy nieraz błędy. Pierwszym (?) autorem, który sam zabił i wielu innych za sobą powołał był John S. Mill. Wypowiedział on pogląd, że postęp techniczny może chwilowo zawiesić działanie prawa malejących przychodów”. Następnie prof. Stys podkreśla, i to z naciskiem, i że

PERYPETIE z funduszem zakładowym

duszu zakładowego za utrzymanie wyników ubiegłego roku jest słuszną. Ruchoma stawka pozwala na zróżnicowane potraktowanie poszczególnych gałęzi przemysłu lub nawet poszczególnych przedsiębiorstw.

Wątpliwości zaczynają się dopiero wtedy, kiedy przechodzimy do analizy kryterium osiągnięć ekonomicznych przedsiębiorstwa. W trzech wypadkach (wariant I, II i IV) kryterium tym jest suma zysku (do wysokości sumy zysku równej sumie roku ubiegłego — odpis zasadniczy; przyrost sumy zysku — podstawą odpisu dodatkowego). W jednym wypadku (wariant III) jako kryterium występuje nie suma zysku, lecz stopa zysku, rozumiana jako stosunek zysku do kosztów własnych. Odpis zasadniczy wynosi w tym wariantcie 3 — 6% funduszu płac przy utrzymaniu stopy zysku na poziomie roku ubiegłego, odpis dodatkowy równa się od 0,5% do 1,5% funduszu płac za każdy procent przyrostu stopy zysku w stosunku do roku ubiegłego.

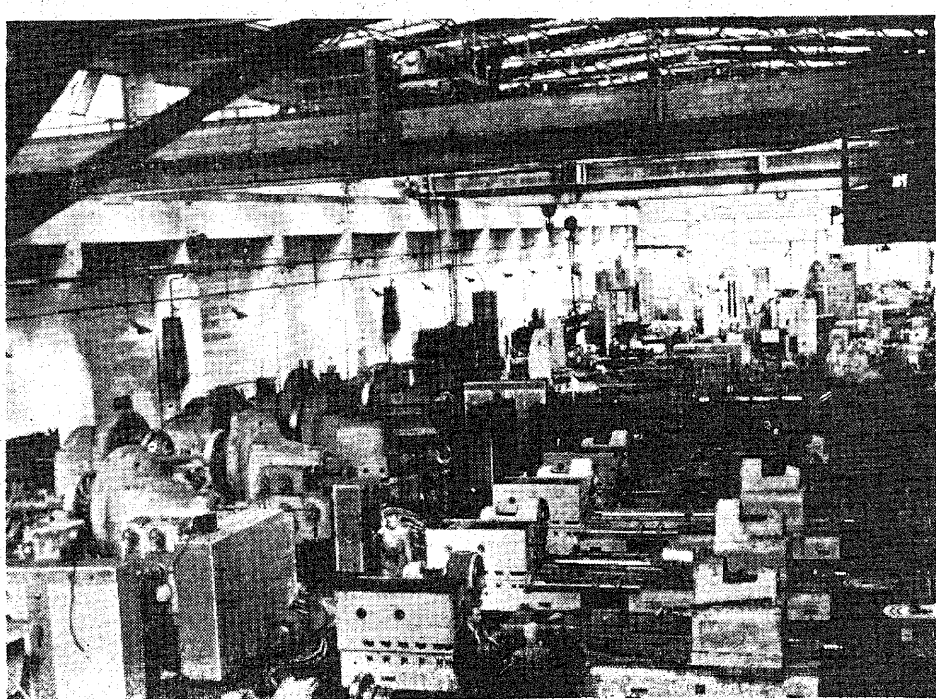
Czy kryterium wysokości stopy zysku jest uzasadnione? Odpowiedź na to pytanie ma duże znaczenie, gdyż wielu ludzi nie rozumiejąc sensu ekonomicznego kategorii stopy zysku jako podstawy systemu bodźców, uważa to rozwiązanie za prawidłowe. M. in. wspomnianemu A. Żmudzie (w artykule w „Trybunie Ludu”), wydaje się, że „zastosowanie stopy zysku jest bardziej sprawiedliwe i ekonomicznie uzasadnione”.

znakomity: mniejsza produkcja, mniejsza suma zysku, za to wyższa stopa zysku! Oczywiście jest pewna granica w takim ograniczaniu produkcji: koszty stałe, które przy mniejszej produkcji mogą obniżyć rentowność, ale siła oddziaływania tego czynnika jest niewspółmierna do „korzyści”, wynikających z koncentracji na wyrobie o najwyższej stopie zysku.

Weźmy jeszcze jeden schematyczny przykład. Załóżmy, że przedsiębiorstwo zatrudnia 1000 robotników i uzyskuje dzięki ich pracy rocznie 1 000 000 złotych zysku (po 1000 zł na osobę). W następnym roku wyłania się możliwość dodatkowego zatrudnienia (przy pozostałych warunkach niezmienionych) 100 robotników, których produkcja przyniosłaby 80 000 zł zysku (po 800 zł na osobę). Jest rzeczą oczywistą, że jeśli tylko nie występują jakieś szczególne okoliczności (np. brak surowców) — zatrudnienie dodatkowych robotników jest niezmierznie korzystne dla gospodarki narodowej, zwiększa bowiem rozmiar dochodu narodowego i daje dodatkowy zysk. Ale przedsiębiorstwo, które zmierzać będzie do maksymalizacji stopy zysku — nie uczyni tego. Wzrost produkcji przyrostu by bowiem spadek stopy zysku. Jakże smutnie wyglądałoby przy tym systemie dążenie do ekspansji produkcyjnej, wprowadzenia nowych asortymentów itp.!

Trochę wstyd pisać o tego typu truizmach, powtarzanych w każdym podręczniku ekonomii. Cóż jednak zrobić, kiedy szkolne błędy

PRODUKCJA CIĘŻKICH OBRABIAREK



Fragment - hali produkcyjnej - w Raelborskiej - Fabryce - Wyrobów - Metalowych -

DOKONCZENIE NA STR. 6

dokonczenie NA STRONIE 7

Potrzebna jest śmiała koncepcja DEGLOMERACJI GOP

TADEUSZ MRZYGŁÓD

Na terenie Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego występuje niepokojące zjawisko, a mianowicie zastraszające tempo narastania nieużytków związanych z dewastacjami terenu, przy równoczesnym silnym wzroście aglomeracji. Skale problemu mogą zilustrować następujące przykłady zaczerpnięte z opracowywanego planu regionalnego GOP. W tym, najsilniej zurbanizowanym terenie Polski — na ogólnej powierzchni wynoszącej 2038 km² — nieużytki niezagospodarowane stanowią około 11 600 ha, a więc ok. 5,7% ogólnej powierzchni terenu GOP. W podanej wielkości nieużytków mieszczą się również hałdy o powierzchni 1404 ha.

Podana wielkość nieużytków co roku zwiększa się. Roczna eksploatacja piasku na podszadkę nieczyści ok. 450 ha terenu. Z wyeksploatowanych już piaskowni na powierzchni 2600 ha zagospodarowanych zostało zaledwie 20,8%, pozostała część straszy swoim zdevastowaniem. Jeżeli tereny po wyeksploatowaniu piasku nie będą zagospodarowywane, to w ciągu kilku lat nieużytki powiększą się o dalszych 2500 ha obecnie czynnych piaskowni.

Do podanych 1404 ha powierzchni, zajmowanej przez hałdy, rocznie przybywa ok. 62 ha nowych hałd, zmniejszając w ten sposób tereny rolne i leśne. Przy takim stanie gospodarki powierzchniowej, w ostatnich latach rocznie niszczone warstwy glebowe wahały się w granicach od 200 do 500 ha, a przyrost terenów wylesionych w jednym tylko 1953 r. wyniósł 373 ha (od 1946 — 1954 wylesiono łącznie 1333 ha lasów). Podobne zniszczenia występowały również poza GOP, jak np. w okręgu górniczym leżącym na terenie woj. krakowskiego.

Podając powyższe cyfry ubytków terenów rolnych i leśnych narzecz powiększania nieużytków nie chce się przez to powiedzieć, że należy np. wstrzymać eksploatację piasku na podszadkę. Chodzi głównie o to, by na terenach Górnośląskiego podjąć szczególnie zastrzeżoną regulację terenu oraz doprowadzić do tego, aby każdy hektar ziemi po wyeksploatowaniu był ponownie szybko zagospodarowany. Stan taki, w którym tylko 1/10 terenu po eksploatacji jest ponownie zagospodarowywana, a 9/10 stanowi obraz spustoszenia, nie może mieć miejsca nie tylko na Śląsku, ale i na innych terenach kraju. Uzupełnia — to nie tylko problem gospodarczy, ale również problem kultury otoczenia człowieka. W terenie, w którym przypada na mieszkańca aż 62,4 m² nieużytków, a tylko 7,7 m² zieleni urządzonej, nie kształtuje się właściwa równowaga psychiczna człowieka. Taki stan wprowadza człowieka w przygnębienie i odbija się na zdrowiu.

Problem skutków eksploatacji powierzchniowej ulega poważnemu

rozszerzeniu, gdy przystępuje się na wielką skalę do odkrywkowej eksploatacji węgla kamiennego nie tylko w GOP, ale również w rejonie rybnickim i nadwiślańskim. Kilkadziesiąt kopalni odkrywkowych o powierzchni dochodzącej do kilkudziesięciu tysięcy hektarów (tylko na terenie GOP ocenia się, że eksploatacja odkrywkowa może objąć do 66 000 ha) doprowadzi teren, sądząc po dotychczasowych doświadczeniach, do dzikich pustyń, po których przeszedł jakiś kataklizm gospodarczy. Węgiel zostanie wywieziony a ludzie pozostaną i będą mieszkać obok zrujnowanego terenu.

Rozwiązania tego problemu należałoby szukać w różnych kierunkach. Jednym z nich, likwidującym skutki a nie przyczyny, mogłoby być utworzenie funduszu na zagospodarowanie terenów poeksploatacyjnych. Fundusz taki, sporządzony w rękach rad narodowych i składający się z wpłat inwestorów za niszczenie gleby i zagospodarowanie terenu (niezależnie od odszkodowań za wykup ziemi). Wpłaty na ten fundusz można by ściągać z chwilą podjęcia inwestycji eksploatacyjnej, a ich wysokość powinna gwarantować możliwość należytego, ponownego zagospodarowania terenów.

Zestawiając wykazane marnotrawstwo terenu z nowym zapotrzebowaniem powierzchni dla rozwoju budownictwa mieszkaniowego oraz usługowego i socjalnego, należy stwierdzić, że dla wykonania zadań produkcyjnych w 1970 r. — na terenie GOP niezbędne będzie zwiększenie zatrudnienia o około 20%, co wyraża się cyfrą ok. 100 tys. osób. Po uwzględnieniu różniczek dorastających i ubytków, na terenach tych powinno się w tym czasie osiedlić (z samej tylko imigracji) ok. 120 tys. robotników, co wraz z rodzinami wyniesie ok. 250 tys. osób.

Dla poprawy warunków mieszkaniowych ludności miejscowej oraz dla rodzin imigrujących należałoby więc, podając obrazowo, wybudować dwa miasta, każde wielkości Katowic.

Te wielkości w zestawieniu ze wzrostem wydobycia węgla o ok. 20—30% dostatecznie świadczą o tendencjach dalszej aglomeracji na obszarze GOP. A więc sam teren staje się, obok wody, „wąskim gardłem” realizacji zamierzeń inwestycyjnych, co nie da się pogodzić z obecnym jego marnotrawstwem.

Przewidziane tendencje koncentracji przemysłu na obszarze GOP zarysowują nowy, olbrzymiej wagi problem: potrzeby górniczego wchodzą w sprzeczność z potrzebami ludności.

Konieczność ochrony górniczej dla zabezpieczenia eksploatacji węgla w dalekiej perspektywie uniemożliwia prawidłowy rozwój osiedli i zabezpieczenie ludzkich warunków zdrowotnych. Następuje

olbrzymie splecenie sprzecznych interesów, których nie można już rozwiązywać drogą doradczego i upychania inwestycji, byle tylko wykonać nałożony plan.

Rozwiązanie poruszonych problemów może nastąpić tylko drogą śmiałych i radykalnych decyzji, którym przyswiecać powinno podstawowe założenie: zabezpieczenie (ochrona przed trwałym zainwestowaniem) eksploatacji węgla na długą perspektywę przy równoczesnym zahamowaniu olbrzymiej aglomeracji na tych terenach oraz przy zabezpieczeniu należytych warunków życiowych ludności GOP.

W związku z tym na czoło wysuwa się problem wydajności pracy w górnictwie, która mimo postępu technicznego — jest o ok. 10% niższa w porównaniu z wydajnością uzyskiwaną w okresie przedwojennym. Osiągnięcie przedwojennej wydajności pracy przez zwiększenie mechanizacji pozwoli na redukcję zatrudnienia o 10%, co równa się zmniejszeniu aglomeracji Górnośląskiej o ok. 100 tys. mieszkańców.

Dalszym kierunkiem rozważań powinna być modernizacja pozostałego przemysłu, przeprowadzona pod kątem zmniejszenia zatrudnienia oraz przeniesienia poza teren GOP zakładów, technicznie zużytych a nie związanych z bazą surowcową. Z modernizacji przemysłu GOP (poza górnictwem) nie należy spodziewać się znaczącego zmniejszenia zatrudnienia, gdyż na przeszkodzie stoi tu brak terenów. Dla przykładu: na modernizację hutnictwa niezbędne jest 6-krotne zwiększenie zajmowanego obecnie terenu (z 1070 ha do 6000 ha). Niestety, takiego zwiększenia terenów nie da się osiągnąć bez olbrzymich wyburzeń części miast, co ze względu ekonomiczne jest nieopłacalne.

Następną sprawą jest właściwe postawienie koncepcji sieci osiedleńczej, która by nie wchodziła w kolizję z eksploatacją i ochroną górniczą a równocześnie zapewniała dobre warunki zdrowotne.

Zarysowując się w ostatnim okresie sposoby rozwiązania tej sprawy wydają się być na błędnej drodze. Podsumowane projekty urbanistyczne wskazują na wyraźną tendencję lokalizacji budownictwa mieszkaniowego w centrum GOP a więc na terenach szkodliwych dla zdrowia i najgłębszej już zaludnionych.

Z planów tych można wyczytać, że ok. 70% potrzeb mieszkaniowych, do 1970 r. ma być zlokalizowanych na tych właśnie terenach. Taka lokalizacja dokonywana jest pod presją bieżących potrzeb i nie może utrzymać się na dłuższą metę. Budownictwo osiedleńcze musi „wylać” się z gópowskiego kotła i powinno znaleźć zdrowe tereny na obrzeżu niecki węglowej, przy równoczesnym sprawnym i szyb-

kim połączeniu kolejowym z miejscami pracy. Pozostawiając górnika wewnątrz tego kotła przez całe życie, skazujemy go na brak świeżego i zdrowego powietrza.

Problem pogodzenia potrzeb eksploatacyjnych z warunkami życia człowieka nie jest specyficznym tylko dla GOP, występuje on i na innych terenach. Na naszych oczach powstają nowe okręgi przemysłowe w rejonie Rybnika i w pasie nadwiślańskim. W okręgach tych zaczynają żywotowo narastać te same problemy, z którymi obecnie walczą się w GOP.

Spójrzmy na historię. Na początku żywotowego narastania aglomeracji Górnośląskiej wysuwana była koncepcja budowy linii kolejowej wokół niecki węglowej i po zewnętrznej stronie zlokalizowania szeregu miast. W środku tej obwodnicy prowadzona byłaby eksploatacja węgla i innych surowców występujących na tych terenach. Eksploatacja ta nie kolidowałaby z zabudową. Miasta z miejscami pracy miałyby połączyć promienne układy komunikacji.

Rodzający się kapitalizm nie dopuścił do realizacji tej dalekowszyczej i śmiałej, jak na owe czasy, koncepcji. Dzisiaj ponosimy konsekwencje bałaganu kapitalistycznego, ale równocześnie mamy bolesną naukę, że nie należy unikać śmiałych rozwiązań. Błędy popełnione w GOP mogą powtórzyć się i w nowych okręgach. Już dzisiaj zarysowują się w przyległych, tworzących się okręgach przemysłowych tendencje lokalizacji miast tuż obok podejmowanej eksploatacji bez liczenia się z dalszą eksploatacją i trudnościami stąd wynikającymi. Do tego dochodzi groźne zjawisko lokalizowania na tych terenach nowych zakładów przemysłowych niezwiązanych z wydobyciem węgla. A sprawa jest drobna. Przewiduje się, że o-

krąg nadwiślański do 1970 r. może powiększyć się o ok. 350 tys. mieszkańców a okrąg rybnicki o ok. 250 tys. mieszkańców. Obydwa te okręgi wymagają więc prawidłowego rozwiązania pod względem gospodarczo — przestrzennym.

Właściwie już trudno jest dzisiaj mówić o trzech odrębnych okręgach (GOP, ROP, NOP); powstaje bowiem jeden okręg Górnośląskiej Niecki Węglowej. Dalsze rozwiązywanie problemów gospodarczo — przestrzennych powinno odbywać się w granicach tego dużego obszaru. Na tych też terenach powinien obowiązywać stanowiący zakaz lokalizacji lub rozbudowy zakładów nie związanych z miejscową bazą surowcową oraz zakładów wodochłonnych. Również podstawowe budownictwo mieszkaniowe powinno być przesunięte poza granice niecki, np. dla okręgu nadwiślańskiego na linię Kęty — Wadowice.

Zakaz lokalizacji nie rozwiązuje jeszcze sprawy. Niezbędne jest wyznaczenie terenów dla lokalizacji nowych zakładów przemysłowych opartych na węglu, np. energetyki, przemysłu chemicznego i tępem podobnych. Lokalizację nowych okręgów powinny, w głównej mierze, wyznaczyć warunki wodne. W pobliżu GOP narzucają się dwa takie obszary, a mianowicie teren w widłach Wisły i Sanu, który przed wojną nazwano Centralnym Okręgiem Przemysłowym i — w kierunku północnym — rejon Działoszyna. W kierunku zachodnim należałoby bardzo ostrożnie rozbudowywać przemysł z uwagi na konieczność zabezpieczenia wody dla żeglugi na Odrze, która obecnie odczuwa okresowy jej deficyt oraz dla ewentualnego kanału Odra — Dunaj.

Budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego jest, jak wiadomo, koncepcją przedwojenną i posiada szereg zalet. Badając warunki wod-

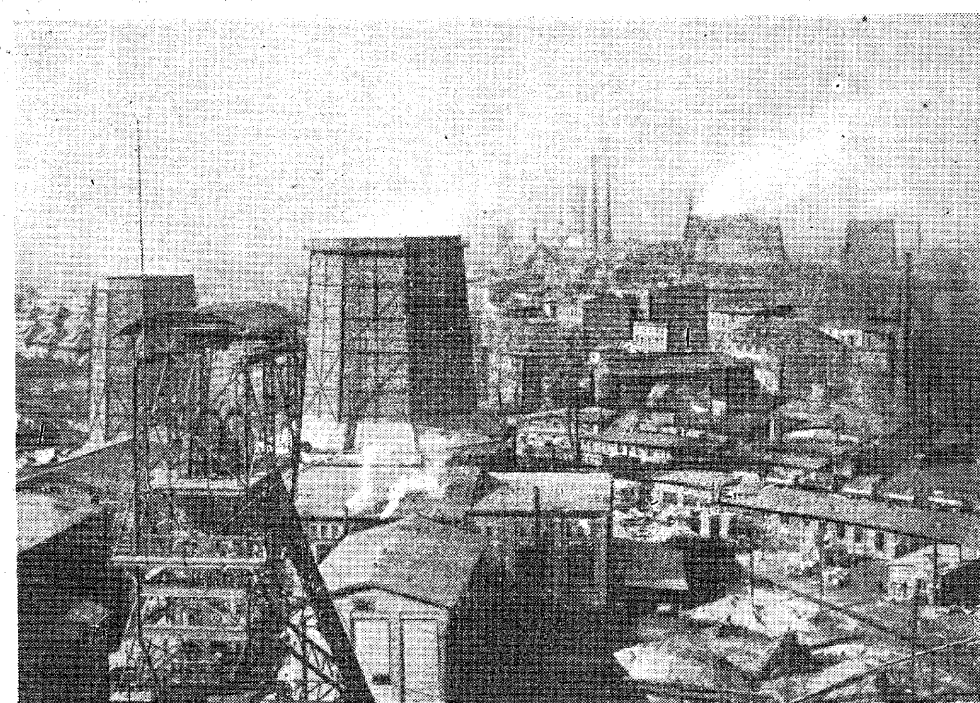
ne można przekonać się, że po odpowiednich retencjach, rezerwy jej występują dopiero po przekroczeniu miejsca, w którym Dunajec wpada do Wisły. Od tego miejsca w dół rzeki Wisły mamy tereny słabo zainwestowane, o dużych rezerwach siły roboczej. Na tych terenach występują odkryte niedawno duże zasoby siarki.

Wiążąc ten teren z bazą węglową Śląską przez użeglowienie górnej Wisły i budowę odcinka kanału Wisła — Odra oraz łącząc go z Zagłębiem Staropolskim i naftowym uzyska się koncepcję nowego okręgu, nastawionego głównie na rozwój przemysłu chemicznego.

Do trudności lokalizacyjnych na tych terenach należałoby słabo zainwestowanie sieci komunikacyjnej, co jest jeszcze pozostałością tzw. szwów granicznych z okresu rozbiórów Polski.

Drugim terenem nadającym się do lokalizacji większych zakładów przemysłowych jest rejon Działoszyna położony w kierunku północnym od GOP. Teren ten jest położony bliżej niecki węglowej niż teren GOP, jednakże lokalizacja na tych terenach większych zakładów przemysłowych związana jest z budową dwu zbiorników retencyjnych na Warcie, a mianowicie pod Działoszynem (ok. 350 mln m³) i Kamionem (ok. 130 mln m³). Wykazuje on duże nadwyżki siły roboczej, duże zasoby materiałów budowlanych, tereny budowlane oraz stosunkowo nieźle obsłużenie siecią kolejową. Wadą jest znaczne rozproszenie sieci osiedleńczej.

Podano tutaj tylko niektóre problemy związane z deglomeracją i zagospodarowaniem Górnośląskiej Niecki Węglowej. Rozwiązanie tych problemów powinno znaleźć się w opracowanym obecnie planie perspektywnym, w szczególności w planach regionalnych południowych terenów Polski.



Fragment Zabrze — Na pierwszym planie — kopalnia Zabrze-Wschód

Foto CAF

Kto chce mieć ropę musi wiercić

Nasz przemysł naftowy w czasie ostatniej wojny i okupacji uległ poważnej dewastacji. Najlepsze maszyny i urządzenia wywieziono do Niemiec, a co bogatsze złoża ropy wyeksploatowano. Po wojnie trzeba było zaczynać od nowa. A więc od produkowania i kompletowania urządzeń, od szukania nowych złóż, szkolenia kadr itd. W tym artykule chciałbym zająć się sprawą poszukiwania złóż ropoносnych i związaną z tym zagadnieniem techniką wiercen.

W technice wiercen dokonano u nas schematycznej rewolucji. Począwszy od 1947 r. na gwałt zaczęto wycofywać urządzenia wiertnicze udarowe i część z nich przeznaczono na złom jako przestarzałe, wprowadzając w zamian wierceń obrótowe, zapewniające szybszy ich postęp. Formalnie rzecz biorąc, w twierdzeniu tym jest dużo prawdy. Wiercenia obrotowe należą rzeczywiście do nowoczesnych i zapewniają większy postęp. Ale specyfika polskich złóż ropoносnych, charakteryzujących się słabym ciśnieniem ropy, wymagała większej ostrożności przy ich wprowadzaniu. Jak twier-

dzą doświadczeni naftowcy, ciężkie piłki, stosowane do wynoszenia urobku w wierceńach obrotowych, ropę o słabym ciśnieniu wycofują spowrotem do złoża.

Zarzut ten uzasadniają okolicznością dowiercania ropy nieraz w tym samym miejscu, gdzie wiercono obrotowo w identycznych warunkach geologicznych. Cytowanych wywodów na temat lepszych efektów z wierceń udarowych niż z obrotowych, nie należy traktować jako reguły. Byłoby to skrajnym i szkodliwym uproszczeniem. W odpowiednich warunkach geologicznych, zwłaszcza przy złożach ropnych o dużym ciśnieniu wiercenia obrotowe mogą również dać dobre rezultaty. Stosowanie jednak skrajnego schematu, bez uwzględniania specyfiki warunków geologicznych, jest zawsze szkodliwe.

W Polsce są warunki na kontynuowanie obu rodzajów wierceń. Ponadto nagromadzone przez długie lata urządzenia do wierceń udarowych powinny być wykorzystane i zapłacić za siebie w pracy przy poszukiwaniu ropy. A właśnie w przeszłości przez stosowanie schematycznego kryterium o wyższości technicznej wierceń obrotowych sporo urządzeń do wierceń udarowych przeznaczono na złom.

Straciłszy w ten sposób część urządzeń i setki ton ropy. Ktoż się zresztą tym przejmował? Wiertacz biorący premie za uwiertcone metry a nie za wyniki wierceń, tj. za ropę, nie miał potrzeby stawiać w obronie wierceń udarowych. Kierownik kopalni, choćby nawet miał krytyczne uwagi, nie zawsze się z nimi ujawniał w dobie powszechnego parcia do „postępu” i niepopularności krytyki. Nazwano by go konserwatystą. Te rzeczy naprawia się dopiero dziś, kontynuując bardziej racjonalnie jeden i drugi rodzaj wierceń.

Polityka techniczna miała niemały wpływ na politykę finansową, a konkretnie na losy finansowania przedsiębiorstw naftowych przez państwo. Brak efektów wierceń, tzn. nieodwiercenie ropy, powodował odpowiednie refleksje i wnioski w Ministerstwie Górnictwa i w istniejącej jeszcze wówczas PKPG.

Odpowiedzialni za państwowy grzech kierownicy stawiali przed przedstawicielami przemysłu naftowego warunek: dostaniecie taką a taką kwotę pieniędzy, a ile dacie za to ropy? Ponieważ zaś ropy wydobywało się mało, więc i mało pieniędzy dostawało się na wiercenia. Ba, tu i ówdzie podsumowano wniosek o zaniechanie eksploatacji własnych zasobów naftowych, gdyż rzekomo import ropy miał być korzystniejszy.

Błędność tych poglądów udowodnia prosty rachunek ekonomiczny. Cena ropy krajowej, biorąc pod uwagę maksymalny koszt wydobycia, wynosi 800—1000 zł za 1 tonę. Na rynku światowym cena 1 tony ropy waha się w granicach od 25 do 40 dolarów. Uwzględniając ważny gospodarczo argument, że za ropę płaci się w cennych dewizach, to jednak opłaca się eksploatować własną ropę. 190 milionów zł z czystego dochodu przekazanego do skarbu państwa w 1956 r. z eksploatacyjnych przedsiębiorstw nafto-

wych, to także nie bagatel (podkreślam z eksploatacyjnych, gdyż wiercenia za ropą prowadzone są przez oddzielne przedsiębiorstwa).

Ostatnie wydarzenia na Węgrzech i w Egipcie wykazały ponadto, że bywają okoliczności, w których nie można liczyć na import. I jeszcze jedna uwaga. Zaprzestanie eksploatacji własnych złóż naftowych, jak to proponowali niektórzy nieopatrzni wnioskodawcy, i to w chwili, kiedy obszary naszego kraju nie są geologicznie rozpoznane, równałoby się rozproszaniu bądź co bądź fachowych kadr naftowych i straceniu miliardów złotych na materiałach i urządzeniach naftowych. Po zaniechaniu eksploatacji byłby one zupełnie nieużyteczne.

Już z tego co tutaj powiedziałem wynika jasno, że obok tzw. przyczyn obiektywnych na losy przemysłu naftowego wpływały nieraz poglądy mylne, a w każdym bądź razie subiektywne. Ich wpływ na dzisiejszy niezbyt pomyślny stan przemysłu naftowego (zaspokajamy dziś własną produkcją nie więcej, jak 11 proc. zapotrzebowania krajowego na ropę i jej produkty) jest niewątpliwym. Są rzeczy, o których przykro mówić. W postępie wierceń — niegdyś pioniera światowego przemysłu naftowego, wyprowadził Albania — kraj o żadnych tradycjach przemysłowych. Wierci się tam szybciej jak w Polsce.

Wszystko co krytycznie się już powiedziało i jeszcze się powie o polskiej naftie, nie może jednak przekreślić wysiłku i starań jej pracowników. Bo przecież prawdą jest, że mimo niesprzyjających warunków obserwujemy nawet pewien wzrost wydobycia ropy od 1944 r. Jest to wprawdzie wynik eksploatacji kilku tysięcy otworów o stosunkowo małej wydajności, niemniej jednak praca ta przynosi korzyści gospodarce narodowej. W bieżącym roku również zwiększono wydobycie ropy o parę tysięcy ton.

Są to jednakże sukcesy (nie ne-

gując ich znaczenia) małego kalibru. Nie wystarczy nam nawet odwiercenie jednego czy dwu szybów o początkowej wydajności 450 tys. kg na dobę (taki szyb odwiercono niedawno w Ustrzyckim Kopalnictwie Naftowym). Potrzebne nam są szybów o wielokrotnie większej wydajności. Nie mamy odwagi marzyć o takiej ropie jaką ma Iran, gdzie jak podają znawcy, przeciętna wydajność na odwiert (szyb) wynosi 1250 ton dziennie, ale szukajmy przynajmniej setek ton na odwiert.

Problem więc tkwi nie w improwizie, ale w poszukiwaniu i odkrywaniu ropy w wystarczająco wielkich ilościach. Tego zaś nie można dokonać w żaden cudotwórczy sposób. Trzeba po prostu wiercić na setki metrów w głąb ziemi. Państwo dysponujące dziś olbrzymimi zasobami ropy musiałyby przecież wydatkować olbrzymie środki finansowe na poszukiwanie za ropą i szukać jej przez długie lata.

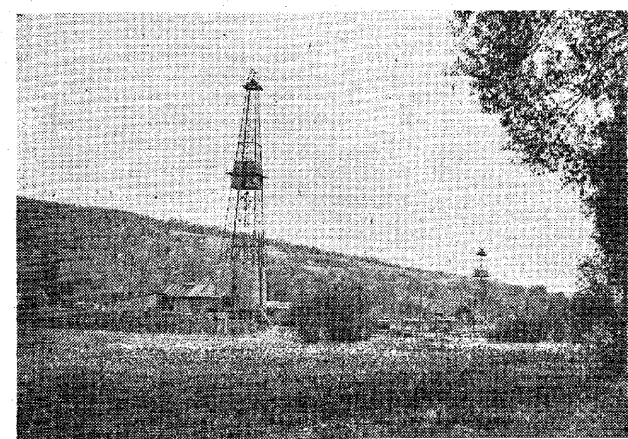
Niska wydajność szybów nie może absolutnie prowadzić nas do absurdalnych wniosków zaniechania eksploatacji polskich złóż, mimo wszystko opłacalnych. Dane geologiczne i geograficzne wskazują na to, że w kraju jest ropa. Geologowie stawiają horoskopy na odkrycie ropy na Niżu Północnym i w Karpatkach. Na ostatnim posiedzeniu Państwowej Rady Górnictwa wyrażono opinie, że i w okolicach Tarnobrzegu obfitującego w siarkę, też powinna być ropa. Sugeruje nam to przykład Sycylii, gdzie w pobliżu siarki Włosi znaleźli ropę. Trzeba więc szukać. Niestety, ilość planowanych metrów wierceń, zarówno eksploatacyjnych, jak poszukiwawczych, zamiast zwiększać się zaczęła maleć. Na bieżącą pięciolatkę zaplanowano do odwiercenia 465 tys. metrów eksploatacyjnych i około 100 tys. metrów poszukiwawczych. Jest to oczywiście bardzo mało. Naftowcy słusznie postulowali, aby np. ilość metrów planowanych podnieść

przynajmniej do 200 tys. w roku 1960, a w następnej pięciolatce zwiększyć plan wierceń do pół miliona metrów rocznie.

Postulat ze wszech miar słuszny, ale jego realizacja jest bardzo kosztowna. Mimo ogromnego postępu w technice badań geologicznych i geograficznych, nie ma wszakże absolutnie pewności, czy proponowany do rozwiercenia teren przyniesie spodziewane pozytywne skutki. Jest to okoliczność powodująca wstrętność ludzi odpowiedzialnych za przydzielanie środków finansowych na wiercenia za naftą.

Tę wstrętność można rozgrzeszyć. Za nierozsądne można jednakże uważać stanowisko żądających odwiercenia ilości ropy absolutnie proporcjonalnych do włożonych nakładów. Ten rachunek można stosować w węglu, gdzie ludzie wysiłek ma zasadniczo decydujące znaczenie. Ze ścian węglowej, dostępnej człowiekowi można bowiem wyciąć więcej lub mniej węgla. Natomiast z podziemnej skały przeźrzałej siarką, można wydobyć ropę tylko wtedy, kiedy ona tam będzie. Żądanie, aby przemysł naftowy w bieżącym roku bilansowym, czy w okresie kilku nawet lat za sumy włożone w inwestycje dał ilość ropy odpowiadającą tym nakładom, jest żądaniem nieracjonalnym. Inwestycje poszukiwawcze w naftę mogą się amortyzować bardzo szybko lub za długie lata. Jeden dobry, zasobny w ropę szyb może po pewnym czasie zapłacić za 100 innych negatywnych. Nie wolno zrażać się chwilowymi niepowodzeniami, ani też stosować krótkowzrocznego kupiectwa. Jak pociągają przykłady innych krajów, wytrwałość w kontynuowaniu wierceń opłaca się.

WŁADYSŁAW ŚWIDRAK



Poszukiwania naftowe w rejonie Sanowa

Foto CAF



Wyższe amerykańskie szkolnictwo składa się obecnie z około 1100 college'ów i uniwersytetów. Aby jednak zrozumieć różnice między college a uniwersyte-tem i całym systemem amerykańskiego szkolnictwa wyższego, musimy — niestety — prześledzić drogę jakiegoś przykładowego Johny od początku, tj. od szkoły podstawowej.

Struktura. Amerykańska szkoła podstawowa (tzw. primary school) trwa 6 lat (od 6 — 12 roku życia) analogicznie jak w Polsce. Następnie idzie się na 3 lata do tzw. Junior High School, która trwa 3 lata i którą ewentualnie można przyrównać do polskiego gimnazjum, a następnie na 3 lata do tzw. High School (w Anglii — secondary school). Po 12 latach nauki otrzymuje się dyplom ukończenia High School (która nazywa się „wyższą”, a jest w rzeczywistości „średnią”). Jest to mniej więcej odpowiednik naszej matury (z tym, że poziom — jak twierdzą sami Amerykanie — jest nieco niższy niż przeciętnie w Europie). Jak dotąd podobieństwo do naszego systemu szkolnego jest uderzające.

Jak wygląda sprawa kosztów szkolnictwa podstawowego i średniego? Otóż zależy to od jakiej szkoły się uczęszcza. W każdym stanie istnieją stanowe szkoły podstawowe i średnie, w których nauka jest bezpłatna, a obok tego — szkoły prywatne, za które trzeba siono płacić. Reprezentują one na ogół wyższy poziom nauczania. Natomiast całe szkolnictwo wyższe jest odpłatne — z tym, że różnice w cennym są bardzo duże. Uniwersytety i college stanowe są stosunkowo znacznie tańsze niż prywatne. Dla przykładu roczny koszt studiów na Wydziale Ekonomicznym Yale University wygląda następująco (według oficjalnych obliczeń Uniwersytetu):

czesne	700 dol.
pokój	325 „
urzeczanie	750 „
książki itp.	100 „
opłata za opiekę zdrowotną i ubezpieczenie	45 „
składki	50 „
drobne wydatki	400 „

Razem 2 326 dol.

Jeśli zestawimy to teraz z danymi statystycznymi, które mówią, że w 1953 roku 53 proc. rodzin amerykańskich zarabowało poniżej 4 tys. dol. rocznie, a 69 proc. — poniżej 5 tys. dol. rocznie (Samuelson: „Economics”, New York 1953, str. 56), to okaże się, że jest to uczelnia „ciut, ciut” ekskluzywna (jak większość wyższych uczelni prywatnych; Harvard np. jest jeszcze droższy). Trzeba jednak stwierdzić, że: 1) czesne w uniwersytetach stanowych jest wielokrotnie niższe (ok. 200 dol. rocznie); 2) uniwersytety przyznają stosunkowo bardzo dużo zwolnień z chesnego, stypendiów itd.

Zostawiliśmy naszego przykładowego amerykańskiego ucznia w chwili, gdy otrzymał dyplom ukończenia High School. Co się z nim dzieje dalej? Otóż studia uniwersyteckie w USA (Kanadzie, Wielkiej Brytanii itp.) składają się z dwóch stadiów wyraźnie wyodrębnionych i kończących się odpowiednimi dyplomami:

1. tzw. undergraduate study, trwające 4 lata, po ukończeniu których otrzymuje się tytuł Bachelor of Arts (nauki społeczne) lub Bachelor of Science (nauki przyrodniczo-techniczne).

2. tzw. undergraduate study, trwające 1—2 lat do uzyskania dyplomu magistra (Master of Arts lub Master of Science) plus dalsze 3—4 lata do uzyskania tytułu doktora.

Studia uniwersyteckie można w USA odbywać w 3 rodzajach wyższych uczelni: 1) w jednej z licznych, istniejących nawet w niewielkich miastach tzw. Junior College, które trwają tylko 2 lata, nie dają żadnego tytułu naukowego, a tylko świadectwo ukończenia. Jest to tak jakby ktoś u nas zaliczył 2 lata wyższej uczelni określonej specjalnością; 2) w college'ach, które mają tytuł undergraduate study i po 4 latach dają dyplom BA lub BS i 3) w uniwersytetach (lub tzw. Graduate Schools), które (uniwersytety) mają przeważnie i undergraduate i graduate study i w których można otrzymać

zarówno MA (lub MS), jak i doktorat (skrącający jako PD) Doctor of Philosophy, dla większości — ale nie wszystkich nauk społecznych.

Różnice hierarchiczne między undergraduate a graduate studens są tu wyraźnie podkreślone. Np. graduate studens mają oddzielną stołówkę, znacznie szersze prawa w korzystaniu z biblioteki itp.

Podsumujmy co powiedzieliśmy wyżej w formie krótkiego zestawienia:

Nazwa szkoły	Ilość lat naukania	Nazwa dyplomu lub tytułu naukowego
Szkoła podstawowa (tzw. primary school)	6	
Szkoła średnia w tym: Junior High School	6	
High School	3	High School Diploma
Studia uniwersyteckie Junior College	2	
College, University	4	BA lub BS
University, Graduate School	1—2	MA lub MS
„ „ „	3—4	PhD lub odpowiednik zależnie od specjalności

Treść. Teraz kiedy przebrnęliśmy już szczęśliwie przez zagadnienie struktury amerykańskiego szkolnictwa, możemy zająć się tym co nas naprawdę interesuje: czego i jak uczą w amerykańskich college'ach i uniwersytetach. Ze względu na zainteresowania naszych czytelników — robimy to na przykładzie Wydziału Ekonomicznego (Department of Economics) Yale

i powiadomienia odpowiedniego dziekanatu.

Po uzyskaniu BA student może kontynuować swoje studia już jako „graduate student”. Uzyskanie stopnia magistra (MA lub MS) wymaga zwykle jednego roku (dla słabiej przygotowanych studentów, np. którzy otrzymali BA w gorszych uniwersytetach czy college'ach — do 2 lat). Trzeba zaliczyć (na Wy-

wkłady w graduate scholl zajmują studentowi około 10 — 12 godz. tygodniowo. Resztę czasu spędza, on lub powinien spędzać w bibliotece. Do każdego przedmiotu otrzymuje student wykaz obowiązujecej literatury podzielonej na tematy, z dokładnym wskazaniem rozdziałów a nawet stron, które ma przeczytać. Wykazy te są w Yale University naprawdę imponujące. Niekiedy tak imponujące, że stają się nonsensowne. Dla przykładu wykaz literatury do wykładu „Conservative Economic Policy” składa się z 22 (!) stron, zawiera około 300 (!) pozycji wyłącznie książkowych i zupełnie nieprawdopodobną ilość stron.

Jest oczywiście, że „reading lists” w swej obecnej postaci muszą budzić parę zastrzeżeń:

1) objętość: nie spotkałem jeszcze studenta, który byłby w stanie przeczytać całą (a nawet pół) wyznaczoną lekturę, a z chwilą gdy przestaje się czytać 100 proc. obowiązującej literatury i z góry nie wyznacza się tego, zachodzi pytanie na jakim procentie student się zafajzował? Sądzę, że nasze doświadczenia w SGPS dobitnie pokazują, że dawanie nadmiernej literatury do niczego dobrego nie prowadzi.

2) Literatura jest niezwykle dokładnie wyspecjalizowana; wskazują się nie tylko które rozdziały, ale i do której strony ma student przeczytać. Przeglądając wrażeń robi, gdy — jak to obserwowałem w bibliotece — student zdawałoby się „po uży” zacytowany w jakiejś książce; nagle z trzaskiem zamyka ją w środku rozdziału, rzuca okiem na swą „reading list” i chwytając ją z drugiej. Nie będę daleki od prawdy, gdy stwierdzę, że w ciągu swych całych studiów uniwersyteckich amerykański student być może nie przeczyta ani jednej całej książki (z wyjątkiem chyba pierwszego roku undergraduate study, gdzie wkuwają Samuelsona). W każdym razie specjalnie przeglądałem „reading lists” tych 4 przedmiotów, które wybrałem i nie znalazłem tam ani jednej całej książki (na poparcie takiego preparowania literatury wysuwa się tu argument, że jest to „najlepsza metoda znanego studenta z mo-żliwością największą ilością najrozsądniejszych punktów widzenia”. Nie wydaje mi się, aby ten szlachetny cel, który to bene absolutnie nie jest tu realizowany, kompensował wszystkie ujemne skutki tak spreparowanej literatury.

System wybierania wykładów — o którym pisałem powyżej — powoduje, że na tych samych wykładach i seminariach spotyka się studentów z różnych lat (to co jeden student wybrał na pierwszym roku, inni mogli wybrać na trzecim), a nawet różnych wydziałów (por. konieczność wybrania 1 czy 2 przedmiotów spoza swej specjalności). Nie bardzo to sprzyja podniesieniu poziomu zarówno wykładów jak i dyskusji.

System wybierania wykładów ma natomiast le zaletę, że wykłady odbywają się na ogół w małych grupach; studenci rozpraszają się bowiem pomiędzy wiele wykładów. Dla przykładu Department of Economics Yale University (Graduate School) oferuje w bieżącym roku akademickim: 11 wykładów z Economic Theory, 9 z Quantitative Methods, 2 z Economic History, 12 z Market Organization and Public Policy, 8 z Labour Organization and Public Policy, 4 z Money and Banking, 6 z Fiscal Policy and Public Finance, 2 z International Trade and Finance i 7 z National Economics and Comparative Economic Systems. W rezultacie nawet najliczniej uczęszczane wykłady (jak np. General Economic Theory) nie liczą więcej niż ok. 30 studentów.

Wymogi egzaminacyjne nie są ujednolicone; są one pozostawione decyzji poszczególnych profesorów. Z niektórych przedmiotów są tylko egzaminy na końcu roku, z innych półroczne i roczne, z jeszcze innych w ogóle nie ma egzaminów, a tylko poważniejsza praca seminaryjna etc. Większość (ok. 99 proc.) egzaminów — to egzaminy pisemne. W ciągu roku profesorowie zadają dość często powielone na kartkach tzw. problems, które trzeba rozwiązać w domu na piśmie i zwrócić profesorowi, co w rodzaju zadań domowych w naszych średnich szkołach.

Metoda. Większość przedmiotów wykładana jest w wymiarze 2 godz. tygodniowo. Oznacza to, że

Projekt 7-letniego planu rozwoju gospodarki narodowej ZSRR

Zadania szóstej pięcioletki radzieckiej (1958—1963) wykonywane są pomyślnie. Świadczy o tym między innymi osiągnięty wzrost globalnej produkcji przemysłowej, który w latach 1956—1957 według wstępnych obliczeń wyniesie przeciętnie około 10,5 proc.

Komitet Centralny KPZR i Rada Ministrów ZSRR we wrześniu br. zlecił Państwowemu Komitetowi Planowania (Gosplan) opracowanie projektu planu perspektywnego rozwoju gospodarki radzieckiej na lata 1958—1965. Jakże były motywy tej decyzji?

Jak wiadomo, w Związku Radzieckim od kilku miesięcy przeprowadzana jest reorganizacja zarządzania przemysłem i budownictwem. Ze zmianą tą ściśle powiązana jest konieczność reorganizacji planowania: plany gospodarcze będą opracowywane na szczeblu republik związkowych, a w poszczególnych republikach — w obrębie ekonomicznych regionów krajów.

Nie upłynęło jeszcze pół roku od powołania do życia rad gospodarki narodowej, a już do Gosplanu napływają liczne meldunki o ujawnianiu ogromnych rezerw, które mogą być wykorzystane dla zwiększenia produkcji przemysłowej. Partia i rząd radziecki przewidywały taki stan rzeczy podejmując decyzję o konieczności opracowania nowego siedmioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej (na lata 1958—1965).

Po zatwierdzeniu dyrektyw w sprawie szóstej pięcioletki, w trakcie wykonywania zadań drugiego roku tej pięcioletki, zrodziły się nowe problemy. Dla ich rozwiązania pozostały okres trzyletni był już niewystarczający. Problemy te, by je należyście można było rozwiązać, wymagały dłuższego, w większości przypadków — siedmioletniego okresu.

Oto niektóre tylko przykłady tej problematyki. W ciągu ostatnich lat geologiczne odkryły nowe bogate złoża surowców i źródeł energii. Można tu między innymi wymienić odkrycie bogatych złóż ropy naftowej (w zagłębiach Jakowlewskich i Michajłowskiej), bogatych złóż ropy naftowej w Stalingradzie, gaz ziemnego — w Saratowie, Astrachaniu na Ukrainie, na Kaukazie północnym, w Azerbejdżanie itd. Ponadto uruchomienie nowych elektrowni wodnych umożliwiło wytworzenie nowych artykułów przemysłowych przy mniejszych kosztach własnych.

Nowa problematyka nie mogła być uchwycona w dyrektywach szóstej pięcioletki, nie mogła znaleźć też swego wyrazu w nakreślonych zadaniach planowych. Samo zresztą planowanie poddało do tych spraw zbyt schematyczne.

Słódna sesja Rady Najwyższej ZSRR w dyskusji nad reorganizacją zarządzania przemysłem i budownictwem poddała krytyce poważne niedociągnięcia, jakie w tym czasie wystąpiły w planowa-

niu radzieckim. Polegały one przede wszystkim na tym, że przechodząc od jednego planu do drugiego, od jednej pięcioletki do drugiej — jak gdyby zaczęto planować od nowa. Niedostatecznie brano pod uwagę konieczność zachowania niezłomnej ciągłości. Zdarzało się, że rok „dobiegał już końca, a niektóre przedsięwzięcia do ostatniej chwili nie miały planu na rok następny. W życiu toczył się nieustanny proces rozwojowy, podczas gdy planowanie jak gdyby urywało się w pewnych okresach kalendarzowych. I dlatego Rada Najwyższa ZSRR polecała zreorganizować planowanie w takim kierunku, by w każdym roku bieżącym znane były podstawowe zadania planu na rok następny, by w każdej pięcioletce bieżącej znane były podstawowe wytyczne planu pięcioletki następnej lub przynajmniej jej pierwszych lat.

Niedociągnięto do powinno być usunięte przy opracowaniu planu perspektywnego na lata 1958—1965, ponieważ plan ten obejmował dwa ostatnie lata szóstej pięcioletki powstaje je organicznie z następnym planem pięcioletki.

Plan perspektywny są więc podstawą bieżącego planowania, które z kolei konkretyzuje zadania planowania perspektywnego.

Siedmioletni plan perspektywny ma przewidywać radykalne zmiany przede wszystkim w zakresie paliw. W wyniku wspomnianych wyżej odkryć nowych złóż gazu i ropy naftowej zwiększy się ich udział w ogólnym bilansie sił. Można tu wskazać dla przykładu, że wykorzystanie nowych złóż gazu w rejonie północnego Kaukazu pozwoli w ciągu najbliższych trzech lat na przesłanie trzykrotnie zredukowane spożycia węgla w Moskwie i w ten sposób 200 tys. wagonów węgla można będzie zużytkować na inne cele.

W projekcie planu siedmioletniego położony będzie szczególny nacisk na tempo rozwoju przemysłu chemicznego. Przyspieszyć należy przede wszystkim produkcję nawozów sztucznych, mas plastycznych, włókien sztucznych itp. W oparciu o prymat rozwoju przemysłu ciężkiego plan zakładać będzie szybki rozwój hutnictwa żelaza i metali nieżelaznych, przemysłu węglowego i naftowego oraz elektryfikacji kraju.

Równocześnie wiele uwagi plan siedmioletni poświęca podniesieniu dobrobytu społeczeństwa radzieckiego. Rolnictwo powinno dostarczać więcej surowców dla tych gałęzi przemysłu, które produkują artykuły powszechnego użytku, a które dotychczas nie dysponowały wystarczającą ilością tych surowców. Plan perspektywny nie może również nie uwzględnić szerokiego programu budownictwa mieszkaniowego, który w ciągu najbliższych 10—12 lat powinien rozwiązać problem mieszkaniowy w ZSRR.

(hs)

KOMUNIKAT O PRENUMERACIE

Zawładamy naszych Czytelników, że zamówienia i przedpłatę na prenumeratę krajową „Złota Gospodarczego” przyjmują urzędy pocztowe i listonosze, Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są oddziały i delegatury „Ruchu” składają zamówienia w miejscowych oddziałach i delegaturach „Ruchu”. Zamówienia na prenumeratę na 1 kwartał, i półroczną i cały rok 1958 należy składać do dnia 10 grudnia 1957 r.

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł.

Prenumeratę naszego czasopisma ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46, telefon 8-64-81, wew. 69. Nr konta PKO 1-6-109024 W-wa. Cena prenumeraty: kwartalna zł 36,40, półroczna — 72,00, roczna — 145,60.

Redakcja

Profesorów zwykliśmy uważać za ludzi mądrych i godnych zaufania w sprawach nauki. Dotyczy to zwłaszcza dziedzin, na których sami mało się znamy.

Trzeba przyznać szczerze, że na ogół nie za głęboko jesteśmy wdrożeni w arkana astronomii, astronautyki, fizyki atomowej, balistyki i wielu innych nauk. Z zaciekawieniem więc czytaliśmy w ostatnich tygodniach wszystko, co w sposób dostatecznie popularny mówiło o sztucznych satelitach Ziemi. Od dawna nie tak nie zaprzętało umysłów milionów ludzi, bez względu na ich światopogląd i przekonania polityczne. Chociaż występowały przy tym różnice w emocjonalnym przyjmowaniu wydarzeń. Uczni ZSRR i innych krajów socjalizmu z uśmiechem i z ciekawością, choć nie bez dumy, mówią o wyrzuceniu dwóch pierwszych satelitów. Natomiast z krajów zachodnich dochodzą głosy entuzjazmu, nawet jeśli w podziwie i uznaniu brzmią tu i ówdzie niebezpieczne nauki.

Jak by nie było, wyrzucenie satelitów stało się faktem i trudno zaprzeczać ich istnieniu. Jedni widzieli je przyrządami optycznymi, inni gołym okiem, jeszcze inni odbierali i rejestrowali sygnały radiowe. Zaobserwowano również oddziaływanie się satelity z sputnikami, aby wywołać wrażenie.

Wydawałoby się, że świadectwa są dostatecznie oczywiste. Znalazł się jednak uczonej w piśmie, dla którego świadectwo zmyślenia nie ma najmniejszego znaczenia. Dla niego oczywistość prawd musi być potwierdzona w jakiś szczególny sposób, musi być skonstruowana przez nas samych — jakby powiedział Kartezjusz. Owe profesor — Varelą Cid, specjalista aeronautyki z hiszpańskiego Instytutu Techniki, oświadczył dotychczas:

„Sztuczne satelity nie istnieją i cały świat został oszukany przez propagandę sowiecką”. „Stany Zjednoczone mają przewagę nad ZSRR w tej dziedzinie. Związek Radziecki wymyślił historię ze sputnikami, aby wywołać wrażenie”.

Spojrzenie z kosmosu

„Zaden odpowiedzialny organ naukowy nie potwierdził dotychczas zaobserwowania czy napotkania satelitów, a jednak cały świat już zaczął widzieć wszelkiego rodzaju latające przedmioty.”

Nie wiadomo, czy profesor Varelą Cid zaprzecza również istnieniu samolotów rozwijających prędkość kilkakrotnie większą od prędkości głosu, czy wątpi w istnienie rakiet balistycznych o dalekim zasięgu, rozwijających znacznie większe prędkości. Bo ci, którzy nie wątpią w te osiągnięcia nauki, wiedzą, że pokonanie grawitacji ziemskiej i umieszczenie satelity na dowolnej orbicie, chociaż jest trudne i kosztowne, przestało już dzisiaj być rzeczą niemożliwą.

Gdyby profesor Varelą Cid powątpiewał, czy orbita, na których zostały umieszczone satelity, są orbitami zamierzonymi, a nie przypadkowymi, powie- dzieliśmy, że jego wątpliwości mają charakter sceptycyzmu naukowego. Ale tak — są symptomatycznym głosem zastrzeżenia, który kieruje się tylko nienawiścią polityczną, nawet w sprawach nauki.

Już kilkanaście miesięcy temu prasa całego świata omawiała program międzynarodowego roku geofizycznego, w którym przewidywano wyrzucenie w przestrzeń kilku satelitów ziemni. Podano dokładnie zakres badań, jakie ma się przeprowadzić przy ich użyciu. O niektórych zadaniach w tej dziedzinie pisał we wrześniu ub. r. m. in. prof. W. Ł. Ginzburg w czasopiśmie Akademii Nauk ZSRR „Priroda”.

Sam fakt wstawienia do programu badań roku geofizycznego takich planów świadczy, że uczeni krajów biorących udział w tej imprezie doszli do wspólnego wniosku, że obecny stan techniki pozwala już realnie myśleć o wyrzuceniu sztucznych księżyców,

Zamierzenia związane z rokiem geofizycznym nie spotkały się z żywym zainteresowaniem ogółu ludności. Zajmowały się nimi tylko specjaliści i miłośnicy nauk przyrodniczych, omawiali je czasopisma naukowe i popularnonaukowe. Ale teraz, kiedy wyrzucenie sztucznego satelity zrealizowano — dziedziną ta stała się najmłodszą dziedziną nauki.

Powstała nadzieja, że jutro człowiek spenetruje przestrzeń międzyplanetarną, a pojutrze międzygwiazdową. Pozna nowe światy, odkryje nowe tajemnice, stanie się jeszcze silniejszy. Być może zetknie się z potęgami, które swym ogromem wpłyną w sposób decydujący na dalszy rozwój wiedzy.

Nieziszczalne do niedawna marzenia o odbyciu drogi dookoła globu ziemskiego w ciągu kilkunastu minut staną się rzeczywistością. Wystarczy kilka minut na wznieśnienie się w górę, krótka podróż i lądowanie w wybranym miejscu globu. Rzecz jasna, trzeba jeszcze rozwiązać wiele szczegółów technicznych, ale przesłanki dla takiej podróży, realne możliwości jej odbycia — istnieją już obecnie.

Trudno przewidzieć już teraz, jakie konsekwencje techniczne i społeczne przyniesie nowa era, zapoczątkowana wyrzuceniem pierwszego satelity. Pewne jest wszakże, że nasze pokolenie przeżywa drugie przełomowe zdarzenie, które staje się początkiem tej nowej ery. Wyrzucenie energii atomowej było olbrzymim krokiem naprzód. Wyrzucenie sztucznego satelity jest osiągnięciem równie wielkim, jeśli nie większym.

Dziś już można poważnie, bez zbędnego fantazjowania, zastanawiać się, jaka będzie ta era, która nadchodzi, jakie nam przyniesie zmiany. Nie ulega

wątpliwości, że glob nasz skurczy się gwałtownie, że w miarę rozszerzania się kosmicznego zasięgu ludzkich pojazdów, będzie stawał się coraz mniejszy, coraz mniej znaczący. I nie starczy już chyba na długo tych sił, które dzielą świat na sfery wpływu, na sfery eksploatacji. Można wyrazić nadzieję, że kilkudziesięciomilowy przelot satelity nad okresem ziemskim zapowiada szybkie zjednoczenie, integrację całej ludzkości. Będzie to broń, która w przyszłości z pewnością stanie się bardzo silnym spoiwem, która zmusi ludzkość do wspólnego działania. Tym bardziej, że będą nas czekały zadania doświadczenia na miarę ponadziemską.

A wtedy, gdy przestanie rzecz się toczyć o dobrane korzyści terytorialne, o możliwość eksploatacji „pracy ludzkiej, nadejdzie wreszcie czas pełnego opowania praw przyrody, wyzwolenia jej ukrytych sił, eksploataowania bogactwa ziemi z korzyścią dla wszystkich ludzi.

Nieznane pociąga w tym samym stopniu prostego człowieka, co uczonego. Aby wyrzucić rakietę za rakieta w Kosmos, potrzebne nam będzie jak najbardziej opowanie wszystkich dostępnych źródeł energii. A po usunięciu groźby wojny nie będzie to chyba trudne.

Może się to wydać zbyt optymistycznym, ale jestem przekonany, że w przeciwnieństwie do pierwszego wybuchu bomby atomowej, który rzucił złowrobną cień na całą ludzkość, — wyrzucenie pierwszych satelitów rozbijała znowu nasze horyzonty. Zbliżały się ludziom dobrobyt, wyzwolenie z wszelkich zależności, wydźwignięcie się z wszelkiego poniżenia. Człowiek sięga po władanie nad przestrzenią kosmiczną — świadomość tego faktu powinna zobowiązać do całkowitej zmiany stosunków na globie ziemskim. I zmiana niechybnie nastąpi. Kto wie, czy nie za życia naszego pokolenia. A wtedy pokolenie to słuszenie będzie mogło przybrać miano pokolenia szczęśliwych ludzi. Optymistą.

O WŁAŚCIWĄ REORGANIZACJĘ SŁUŻBY ROLNEJ

Konsekwentna realizacja postulatów VIII Plenum pobudziła inicjatywę chłopów w kierunku rozwoju różnych form spółdzielczości wiejskiej. Masowy charakter przyjął rozwój społeczno — zawodowej organizacji w postaci kółek rolniczych. Zjawiska te wraz z przyjęciem kierunku na decentralizację oraz zwróceniem z kultem niefachowości i biurokratyzmu — spowodowały konieczność reorganizacji służby rolnej. Zastanówmy się ponownie w sposób dyskusyjny nad niektórymi problemami związanymi z polityką kadrową w rolnictwie.

W obecnej chwili Ministerstwo Rolnictwa zmniejszyło liczbę agronomów rejonowych z 7 do 3 tys. Zwolniono więc aż 4 tysiące ludzi. Powstaje pytanie czy uzasadniona była taka redukcja? W skali krajowej zaledwie 39 proc. pracowników służby rolnej ma przygotowanie rolnicze, w tym 13 proc. studia wyższe i 26 proc. średnie wykształcenie rolnicze. A więc ponad 60% pracowników rolnictwa nie ma przygotowania rolniczego. Agronomów ze średnim wykształceniem jest zatrudnionych w rolnictwie 14 133, z tego w powiatowych zarządach rolnictwa 5 142, reszta w PGR i innych instytucjach. Spośród 4 978 agronomów z wyższym wykształceniem zatrudnionych w rektorze rolnictwa, zaledwie 956 osób pracuje w powiatowych zarządach rolnictwa. Stąd wniosek, że większość agronomów to ludzie bez przygotowania rolniczego. Że tak jest — mogą posłużyć dowodem choćby dane z powiatu łęczyckiego, gdzie prawie 57 proc. agronomów rejonowych ma zaledwie wykształ-

cenie w zakresie szkoły podstawowej. Okazuje się więc, że redukcja tak poważnej ilości agronomów jest w pełni uzasadniona. Szerzej to zagadnienie omówiono w artykule pt. „W sprawach Kadrowych Rolnictwa”. Nowe Rolnictwo Nr 20.

Za wcześnie dziś na głębszą analizę efektów reorganizacji — służby rolnej, gdyż sam proces nie jest jeszcze zakończony. Jednakże już wstępne badania wykazują, że jesteśmy dalecy od stanu zadowalającego.

W związku z szerokim rozwojem kółek rolniczych jako samorządnych organizacji chłopskich, powołano do życia powiatowe związki kółek i organizacji rolniczych, przy których

utworzono biura rolne. Biuro rolne ma się przede wszystkim zajmować agronomiczną działalnością na terenie kółek rolniczych. Do tego celu przesunięto z powiatowych zarządów rolnictwa część służby agronomicznej (w liczbie 15 — 20 osób, różnie w różnych powiatach). Nie oznacza to oczywiście bynajmniej likwidacji służby agronomicznej powiatowych zarządów rolnictwa.

Trzeba stwierdzić, że przesunięcia te wypadły wyjątkowo niekorzystnie dla kółek rolniczych. Dla przykładu rozpatrzmy zestawienie zatrudnionych w Powiatowym Zarządzie Rolnictwa i w Powiatowym Biurze Rolnych kółek i organizacji

Wyszczególnienie	Ilość pracowników	Wykształcenie			
		ogólnokształcące	niepełne średnie rolnicze	pełne rolnicze	rolnicze
A. Agronomowie — specjaliści Pow. Zarz. Roln. przy PRN	13*)	3	2	4	4
B. Agronomowie zatrudnieni w Biurze Rol. przy Pow. B. kółek i Org. Rol.	18	—	7	10	1
w tym:					
a) agronomowie powiatowi	7	—	1	5	1
b) „ „ rejonowi	11	—	6	5	—
Razem A + B	31	3	9	14	5

*) Wykaz obejmuje jedynie kierowników poszczególnych specjalizacji.

KONRAD BAJAN

rolniczych w Ciechanowie (woj. warszawskie).

Jak wynika z przytoczonego zestawienia do kółek rolniczych poszli ludzie z najlepszym przygotowaniem fachowym. Podobnie jak

Staż pracy służby agronomicznej w powiecie ciechanowskim Tabl. 2

	Ilość pracowników	Staż pracy lat			
		do 3	3-5	5-10	ponad 10
A. Agronomowie specjaliści Pow. Z. R. przy PRN	13	2	4	5	2
B. Agronomowie zatrudnieni w Biurze Rolnym przy Pow. Zarz. Kółek i Org. Rolniczych	18	6	3	8	1
w tym:					
a) agronomowie powiatowi	7	1	2	3	—
b) „ „ rejonowi	11	5	1	5	1
Razem: A+B	31	8	7	13	3

Zagadnienie polega na tym, że działalność agronoma w sferze rozwijających się samorządnych organizacji chłopskich wymaga szczególnie wysokich, wszechstronnych kwalifikacji. Główna praca agronoma — to doradztwo fachowe zmierzające do podnoszenia kultury rolnej, właściwego urządzania gospodarstwa chłopskiego, wprowadzania systemu zmianowania, hodowli zarodowej itp. — słowem podnoszenia wydajności i rentowności produkcji w gospodarce chłopskiej.

Agronom musi więc być nie tylko dobrym specjalistą, ale i pedagogiem, wychowawcą. Musi być również działaczem społecznym, który bierze czynny udział w rozwoju no-

tu, również inne powiatowe zarządy rolnictwa bardzo niechętnie oddawały dobrych specjalistów do kółek rolniczych, a raczej pozbywały się słabszych, wykazujących się mniejszym zasobem wiedzy teoretycznej i praktycznego doświadczenia. Potwierdza to poniższe zestawienie:

	Ilość pracowników	Staż pracy lat			
		do 3	3-5	5-10	ponad 10
A. Agronomowie specjaliści Pow. Z. R. przy PRN	13	2	4	5	2
B. Agronomowie zatrudnieni w Biurze Rolnym przy Pow. Zarz. Kółek i Org. Rolniczych	18	6	3	8	1
w tym:					
a) agronomowie powiatowi	7	1	2	3	—
b) „ „ rejonowi	11	5	1	5	1
Razem: A+B	31	8	7	13	3

wych form kooperacji jako jedynej drogi socjalistycznego rozwoju wsi. Wsuwana niejednokrotnie teza o apolityczności agronoma jest z gruntu fałszywa. Agronom bierze czynny udział we wszelkich przemianach politycznych i społecznych zachodzących na wsi. Jego wpływ jest tu nie bez znaczenia.

Dlatego reorganizacja służby rolnej musi pójść w takim kierunku, aby zapewnić obsadzenie stanowisk agronomów rejonowych ludźmi związanymi bezpośrednio z produkcją i mającymi odpowiedni zasób wiedzy fachowej i praktyki. Od tego w jakim stopniu zdołają sobie zaufanie u chłopów, zależnie będzie realizacja stawianych im za-

dań. A to zaufanie zdobyć mogą przede wszystkim fachowością, umiejętnością podejścia do ludzi, szczerością, uczciwym stosunkiem do pracy. I tymi właściwymi walorami powinien odznaczać się dobry agronom.

A teraz inna sprawa. Nowa organizacja stworzyła dwupiętrową służbę agronomiczną — powiatowe zarządy rolnictwa przy PRN i biura rolne przy powiatowych związkach kółek rolniczych. Nie jest to najszybsze rozwiązanie. Wydaje się, że cała służba agronomiczna zatrudniona w powiatowych zarządach rolnictwa powinna przejechać do pracy w powiatowych zarządach kółek rolniczych. W powiatowych zarządach przy PRN należałoby zostawić odpowiedników poszczególnych działów specjalizacyjnych. Zmniejszyłoby to aparat PZR do kilku osób.

Moim zdaniem następujące przesłanki przemawiają za tym, aby zostawić część specjalistów przy PZR:

1. Całość pracy agronomicznej musi być ostatecznie kierowana i kontrolowana przez państwo, gdyż służba agronomiczna realizuje określone politykę gospodarczą państwa. Jakiejś dowolności tutaj nie może być w żadnym wypadku.

2. Praca agronomiczna związana jest z zagadnieniami administracyjno — prawnymi, które powinni realizować specjaliści przy PRN.

3. Jedyne państwo, a nie takie lub inne zrzeszenie może realizować określoną politykę finansową i pomoc kredytową.

Zgrupowanie pozostałych specjalistów rolnych w kółkach rolniczych nie tylko ujednoliciłoby dotychczasowy dwutorowy system pracy służby agronomicznej, ale pozwoliłoby również na przesunięcie obecnych agronomów powiatowych na stanowiska agronomów rejonowych, co poważnie podniosłoby jakość służby rejonowej.

Równie ważnym zagadnieniem jest lokalizacja agronomów rejonowych w obrębie rejonu. Dotychczas agronom nie posiada swej stałej siedziby pracy, co utrudnia nawiązanie rolnikom kontaktu z nim, oraz nie gwarantuje żadnej dyscypliny pracy. Wydaje się rzeczą słuszną, aby agronom miał na terenie swego rejonu stałe miejsce pracy, przy jednej z gromadzkich rad narodowych. Może to być swego rodzaju gabinet agronoma. Gabinet taki mógłby być wyposażony z biegiem czasu w literaturę fachową, eksponaty i stać się ośrodkiem szerzenia kultury rolnej. Z drugiej strony pozwoliłoby to chłopom szybciej nawiązać kontakt z agronomem i wzmocnić kontrolę pracy agronoma.

Skoncentrowanie całego aparatu służby rolnej w kółkach rolniczych połączyłby gospodarza samorządność chłopską z właściwym fachowym kierownictwem, co z kolei stworzyłby przesłanki dla wzrostu produkcji i rozwoju kolektywnego działania wsi.

Jeśli chodzi o poruszone wyżej zagadnienia wiedzy nauk z praktyką to wydaje się, że są na tym odcinku znaczne możliwości. Wyższe uczelnie rolnicze w Polsce skupiają 1575 samodzielnych i pomocniczych pracowników naukowych. Instytuty naukowe podległe resortowi rolnictwa zatrudniają 1399 specjalistów z wyższym wykształceniem, w tym 573 agronomów, 189 zootechników, 141 ogrodników.

Wyższe uczelnie prowadzą oprócz dydaktyki prace naukowe — badawcze, którymi z reguły zajmują się instytuty naukowe. Upraszczając, można stwierdzić, że około 3 tys. osób z wyższym wykształceniem (nie licząc Akademii Nauk) zajmują się pracą naukową — badawczą w zakresie rolnictwa. Byłoby absurdem proponować zmniejszenie liczby pracowników naukowych na wyższych uczelniach rolniczych. Jednakże wyższe uczelnie w oparciu o swoją kadrę naukową mogłyby w większym stopniu rozszerzyć prace naukowe — badawcze i przez właściwą korelację prac między instytutami a uczelniami można by zlikwidować często dublowanie tych samych tematów.

Liczbę pracowników instytutów naukowych, które oprócz 1399 osób z wyższym wykształceniem zatrudniają 514 osób z wykształceniem średnim można by poważnie zmniejszyć. Być może tym kieruje się Instytut Ekonomiki Rolnej, który przeprowadza poważne redukcje pracowników. Warto, by nad tym pomyślały również inne instytuty.

Samo zmniejszenie liczby pracowników nie rozwiązuje jednak problemu. Istnieje u nas sieć rejonowych instytutów doświadczalnych, co prawda nie we wszystkich województwach. Byłoby więc słuszone, aby we wszystkich województwach powołać takie instytuty, w których można by zatrudnić część pracowników zwolnionych z instytutów centralnych. Następnie pracownikom rejonowych instytutów należałoby przydzielić określone ilości wsi, gdzie w powiązaniu z agronomem rejonowym pracownik naukowy oprócz swych badań mógłby brać czynny udział w powiększaniu szkoleniu chłopów oraz organizowaniu wzorowych gospodarstw. Takie rozwiązanie miałoby szereg dodatkowych stron szczególne w dziedzinie właściwego powiązania nauki z praktyką. Wzmacniłoby to również pozycję aparatu agronomicznego. Nie chodzi tutaj o uciśnienie z pracowników naukowych działaczy zajmujących się pracą agronomiczną czy społeczną. Praca naukowa odgrywa rolę w szerzeniu oświaty rolniczej, a szczególnie rejonizacji produkcji i tworzeniu wzorowych gospodarstw chłopskich.

„Prawo spadających przychodów”

DO KONTINUACJI ZE STR. 1

wielokrotnie, że „prawo nie przestawało działać „ani na chwilę”, że krańcowy przychód był „stałe wielkością malejącą” itd. (103).

Wydaje się, że sprawa jest jasna: przychód spada zawsze (przynajmniej „krańcowy przychód”) zupełnie niezależnie od warunków czasu i miejsca. A. Mill popełnił błąd, skoro przypuszczał, że może być inaczej. W tym miejscu prof. Stys jest konsekwentny: skoro bowiem „prawo” jest uniwersalne, określa wszystkie zjawiska gospodarcze, to nie może przestać działać ani na chwilę. Jeżeli więc ekonomista nasz w innych miejscach swego artykułu będzie wywoził co innego i dawał przykłady wręcz przeciwnie uniwersalnemu prawu, świadczy to jedynie, że przy pomocy tego prawa nie jest on w stanie powiązać logicznie swoich wywodów, lecz nie o tym, że odstepuje od samego prawa.

2) Różnica istnieje również w uzasadnieniu „prawa”. Jego zwolennicy przenoszą je na płaszczyznę prawa przyrody i wytykają wszystkim swoje zdolności logicznego argumentowania by przekonać czytelników, że nie sposób z jednego hektara, nawet przy miliardowych nakładach kapitału, wyżyć całej ludności kraju, że „drzewa nie mogą rosnąć do nieba” itd., itp. Jest to, moim zdaniem — daremny wysiłek. Zadnemu bowiem marksistcie nie udało się nawet spierać o prawa przyrody, te spory pozostawiamy przyrodnikom. Spieramy się o prawa ekonomiczne.

Dla przykładu: prof. Stys twierdzi, że istnieje absolutna granica wzrostu urodzajności. Nie przypuszczam, że istnieje chociażby jeden normalny człowiek, który zaprzeczałby temu. Powstaje jednak pytanie: jakie wnioski wynikają stąd dla ekonomisty? Nikt z nas nie zna tej granicy, nikt też nie może stwierdzić, że gdziekolwiek została osiągnięta. Założymy jednak, że określiliśmy ją literą Y. Czy udowodnimy ktokolwiek, że do Y rolnictwo musi dochodzić przy pomocy „prawa”?

Skoro zatem zgodziliśmy się na istnienie granicy absolutnej Y, to nie posiadamy żadnego ani praktycznego, ani teoretycznego znaczenia dla ekonomisty.

Można się zgodzić z prof. Stysiem, że istnieją — w danym czasie i kraju — relatywne granice dla wzrostu urodzajności. Z miejsca jednak nasuwają się poprzednie wątpliwości.

Aby je wyjaśnić weźmy przykład prof. Stysia: podaje on, że (przepraszam iż pomijam historię od XIII wieku) w ciągu ostatnich 100 lat „wspieliliśmy się w Polsce na poziom 8-9 ziarn z jednego ziarna w wysiewu, na którym obecnie już od dłuższego czasu drepcemy. Okres ten był świadkiem niebywałej rewolucji, która jest niepowtarzalna (podkreślenie moje), ale aby osiągnąć ten efekt, cztery pokolenia rolników musiały uparcie pracować” (109).

Zastanówmy się nad wymową tych liczb. 100 — 150 lat temu wydajność z ha była u nas plus minus jednakowa wydajności w sąsiednich państwach niemieckich. Obecnie, na mas waha się ona w granicach 12 — 14 kw., u nich (NRD — NRF) w granicach 27 — 29 kw. z ha. U nas wzrost w stosunku do końca XVIII w. wynosi 2,5 — 3 razy, u nich 5 — 6 razy. Jest rzeczą oczywistą, że przyczyną tej rozpiętości należy szukać nie w działaniu „prawa”, które wszak powinno — zgodnie z założeniami — działać tym silniej, im bardziej rolnictwo zbliża się do absolutnej granicy, lecz gdzie indziej. Mianowicie, wydaje się, że można je wyjaśnić wskazu-

jąc na półfeudalny charakter naszego rolnictwa, określony stan wiedzy i techniki rolnej, określone moce produkcyjne (np. fabryk nawozów sztucznych), określone błędy polityki rolnej itp.

3) „Wiele nieporozumień na temat prawa... wynika stąd, że zabierający głos w tej sprawie nie odróżniali krzywej całkowitego plonu od krzywej jego przysrostu” (107), aby więc usunąć „nieporozumienia” prof. Stys daje dwa diagramy (3 i 4).

Wydaje się, że sens tego zdania można odczytać jak następuje: produkcja na ha może wzrastać, lecz nakłady pracy muszą jeszcze szybciej wzrastać. Oznaczałoby to, że kraje bardziej posunięte naprzód okupują wyższe plony większymi nakładami pracy żywej i uprzemiotłowionej — w „przebiegu na kwintal... przysrostu... produkcji”. Dla rozproszenia „nieporozumień” autor zrobiłby chyba najlepiej, gdyby swoje diagramy i wywody logiczne uzupełnił przez dowody faktyczne. Diagramy i wywody logiczne — aczkolwiek niezwykle ważne — mają ograniczoną siłę dowodową, ich cecha charakterystyczna bowiem jest to, że autor przyjmuje założenia hipotetyczne, a zatem dowolne.

Dla uniknięcia nieporozumień: chodzi o nakłady pracy odpowiedniej jakości, a nie o nakłady pieniężne, te mogą być w tych krajach wyższe, jako skutek, dajmy na to, wyższych płac, wyższego oszacowania wynagrodzenia własnej pracy itp.

Niestety prof. Stys wybrał inną drogę rozpraszania nieporozumień i nie przypadkowo. Jakoś tak się składa, że zwolennicy „prawa” unikają jak ognia statystyki. Wydawałoby się nic prostszego jak udowodnić tak ważne uniwersalne prawo, posiadające niezwykle wprost wpływ na wszystkie zjawiska gospodarcze i nawet kulturalne, przy pomocy danych faktycznych i raz na zawsze rozbić przeciwników. Wydawałoby się, że nie prostszego, jak wykazać czarno na białym, że prawo, o którym można by napisać książkę (jak zapewnia prof. Stys), w której krocząc 50 drogami dochodzi się nieuchronnie do wniosku o jego istotnym przemownym wpływie — powtarzam, że takie prawo musi przecież przejawiać się w danych statystyki wszystkich krajów.

Kluczem do tej tajemnicy jest prosty: statystyka nie daje potwierdzenia wszystkich tych „krańcowych” przysrostów, kosztów, wydajności pracy, plonów itp. Teoria, której główną zaletą (w odróżnieniu od „abstrakcji marksistowskich”) ma być bezpośrednie wyjaśnienie praktyki, nie podlega weryfikacji w praktyce. W tej sytuacji obawiam się, że prof. Stys będzie jeszcze długo rozpraszał nieporozumienia, a liczba czytelników ulegających nieporozumieniu będzie rosła nie tylko u nas, lecz również na Zachodzie.

Wybitny francuski ekonomista, równie daleki od marksizmu, jak i nasi głosiciele „prawa”, Emil J. J. mes, stwierdza w „Historii myśli ekonomicznej XX wieku, t. II, str. 409”, że jako skutek niemożliwości potwierdzenia przy pomocy faktów „współczesne teorie ekonomiczne coraz bardziej oddalały się od koncepcji marginalistycznych”. Amerykański ekonomista J. M. Clark (nazwisko dobrze znane na Zachodzie) stwierdza wprost, że statystyka dostarcza dokładny obraz zmian „przebiegu” produkcyjności (w gałęziach produkcji i w całej gospodarce) lecz nie jest w stanie dostarczyć danych o krańcowej produkcyjności. Na tej podstawie dochodzi do smutnego wniosku, że teorie marginalne „nie podlegają weryfikacji” (prof. James op. cit, str. 439).

Dziesiątki ekonomistów — teoretyków stwierdzają na podstawie ankiet przeprowadzonych wśród współczesnych przedsiębiorców, że nie kalkulują oni w kategoriach „krańcowych”, natomiast opierają się na kosztach przeciętnych plus „normalny” zysk. W razie potrzeby mogą służyć nazwiskami i nazwami dzieł.

A zatem, po ukazaniu się dosłownie tysięcy dzieł, artykułów itp., po 70 latach rozpraszania „nieporozumień” kapitaliści wciąż jeszcze kalkulują według Marksa (tj. — jak się wyrażał pewien młody człowiek — według „osiemnastowiecznych metod”) i ani rusz nie chcą uwzględnić „nowoczesnych” metod marginalistów. A statystyka, która w zasadzie może uwzględnić nie hipotezy i dowolne diagramy, lecz jedynie fakty, „nie” może uchwycić tych tak ważnych krzywych krańcowego przychodu, plonu, wydajności itd. itp.

Znowu dla uniknięcia nieporozumień: proszę nie rozumieć mnie tak jakobym uważał, że samo pojęcie krańcowych kosztów jest pozbawione sensu. Owszem, można i trzeba badać jakie koszty musi pociągnąć za sobą wzrost produkcji butów, ubrań, maszyn, zboża itp. Można też bez wahań przyjąć tezę, że w określonych warunkach te dodatkowe koszty będą wyższe od poprzednich na jednostkę produkcji. Nie należy natomiast generalizować tylko szczególnych wypadków, gdyż poza diagramami i logicznymi wywodami, którym można przeciwstawić inne diagramy i inne logiczne wywody, nie ma żadnego dowodu, że takie generalizowanie jest słuszne.

Pewien ekonomista próbował w zeszłym roku ośmielszyć przeciwników „prawa”, formułując tę sprawę jak następuje: prawo malejących przychodów — to prawo kontrwolucyjne (czyli w pamięci). Oczywiście, „dobry żart tyfina wart”, pod warunkiem żeby żart był dobry. Prawo nie jest ani rewołucyjne ani kontrwolucyjne, jest ono słuszne lub niesłuszne. To „prawo” — jako uniwersalne prawo rozwoju produkcji nie zostało udowodnione.

Sprawa ma jednak swoją drugą stronę. Prawa nauki ekonomicznej mają wymowę społeczną — i to niezależnie od tego czy to nam się podoba, czy też nie. Komu wymowa społeczna ekonomii politycznej nie odpowiada, temu pani Robinson zupełnie słusznie radzi, by się zajął życiem ptaków, lub studiowaniem matematyki. W dotychczasowej historii, naszej nauki, zwolennicy „prawa” występowali nie po stronie klasy robotniczej. Również prof. Stys, w odróżnieniu od owego ekonomisty, zdaje sobie doskonale sprawę z wymowy społecznej „prawa”, skoro swój referat poświęcił polityce rolnej poprzedząca dokładną analizę.

4) Centralnym punktem sporu między zwolennikami i krytykami „prawa” jest sprawa roli postępu techniki i nauki w rozwoju produkcji. Prof. Stys podkreśla, że wszyscy „pomniejszyciele prawa” wskazują na postęp techniczny. Zdaniem naszego ekonomisty pojmają oni ten błąd, że zapominają, iż „nawet w przemyśle od zrobienia wynalazku do seryjnej produkcji na jego podstawie upływa kilka, a nawet kilkanaście lat” (108).

Mogę zapewnić Szanownego Autora, że „pomniejszyciele prawa” nie zapominają o tym. Wystarczy przypomnieć tu rozważania Marksa o reprodukcji rozszerzonej, której towarzyszą zmiany w organizm — jakiegoś kapitalu i o reprodukcji rozszerzonej dokonującej się na podstawie oswojenia już istniejącej techniki. Wystarczy następnie przypomnieć uwagi Lenina

o trudnościach, na jakie napotykała nowe wynalazki w epoce współczesnego kapitalizmu. Prof. Stys nie zaprzecza jednak, że mimo tych wszystkich trudności postęp techniczny dokonywał się nieustannie. Chociaż więc jedne wynalazki czekają swojej kolejki kilkanaście lat, to w tym samym czasie inne wynalazki wchodziły do seryjnej produkcji.

Ten fakt, że postęp techniczny, zastosowanie nauki i organizacji do produkcji oznacza z reguły spadek kosztów — jednostkowych, krańcowych i jakich tylko chcemy — produkcji jest niewątpliwą. Udowodnił go już Adam Smith na swoim słynnym przykładzie produkcji szpilek. Udowodnią go codziennie samo życie. Przejdzie od potokowej do automatycznej produkcji u Forda, które „pozwała zastąpić” tysiące robotników przez kilkunastu, przy jednoczesnym gwałtownym spadku kosztów — jest tego tylko jednym z tysięcy przykładów. W jaki sposób zarówno postęp techniki w przemyśle i rolnictwie, którego jesteśmy świadkami w chwili obecnej, nie zawiesza „ani na chwilę” działania „prawa” — to może wiedzieć tylko jeden Allah.

Można dla uratowania „prawa” przyjąć, że istnieją okresy gwałtownych skoków w postępie techniki i nauki i okresy przerwy w postępie; okresy „ruchu” i „postojów”. Powstaje wtedy pytanie: co się dzieje między jednym skokiem w technice i następnym i co domniemuje — okresy „ruchu” czy też „postojów”?

Z wywodów niektórych burżuazyjnych ekonomistów wynika, że w tzw. „krótkich okresach czasu” dominują „postoje”, natomiast dla tzw. „długich okresów czasu” można przyjąć istnienie zmian w technice. W tym wypadku w krótkich okresach dominowałoby prawo spadających przychodów, zaś w długich okresach czasu dominowałoby prawo rosnących przychodów i spadających kosztów krańcowych.

Ten podział wywołuje jednak wiele wątpliwości. Jeżeli np. pragniemy uniknąć „mistyki”, musimy stwierdzić, że długie okresy czasu składają się z krótkich, tak samo jak miesiąc składa się z dni, a dzień z godzin. Jeżeliż zatem we wszystkich krótkich okresach czasu nie było zmian w technice i spadku kosztów, to nie wiadomo skąd by one powstały w długich okresach czasu. Aby wyjść z trudności, można oczywiście przyjąć istnienie krótkich okresów „postojowych” oraz krótkich okresów skokowych zmian w technice. Ale, jeżeli nawet zgodzimy się z takim założeniem, to czy da się utrzymać uniwersalny charakter prawa spadających przychodów nawet dla wszystkich krótkich okresów?

*

Na początku naszego stulecia wystąpił z uzasadnieniem prawa spadających przychodów rosyjski ekonomista Bułhakow. Najbardziej nieuprzedzony czytelnik może stwierdzić niezwykle bliskość zasadniczych tez Bułhakowa i prof. Stysia. Istnieją jednak pewne dość istotne różnice: rosyjski profesor nie rozciągał swego prawa na przemysł, ograniczając jego działanie do rolnictwa, nasz autor idzie krok „naprzód”, rozciągając jego działanie na wszystkie dziedziny produkcji; rosyjski ekonomista uważał, że „odkrycia ekonomiczne, udoskonalenia techniczne... likwidują tymczasowo tendencję zaznaczoną w prawie malejących urodzajności gleby”, nasz autor uważa, że teza o tymczasowej likwidacji jest błędem; rosyjski autor nie pisał w okresie zwrotnego postępu technicznego i nie zaprzeczał możliwości wielkich przewrotów techn-

JÓZEF ZAWADZKI

daleko od WARSZAWY

Na pograniczu Dolnego Śląska i Czechosłowacji, na południowo-wschodnim cyplu — leży miasto Złoty Stok. Wyruszając z Kamińca — wiadamy do pociągu, który przewozi nas do jedynej w Polsce kopalni arsenu i złota — tak, prawdziwego złota. Otrzymujemy się je jako produkt uboczny w minimalnych ilościach. Pasma gór Sudeckich, u których podnóża leży Złoty Stok, zbudowane jest ze skał pochodzących ze starych okresów geologicznych; w ich skład wchodzi: łupki mikowe, gnejsy, wapienie i dolomity.

Jeśli wierzyć danym historycznym, to kopalnia i związana z nią osada górnicza, powstały w pierwszej połowie X wieku. Charakterystyczne jest, że początek górnictwa na tych terenach zawdzięcza się nie Niemcom, lecz niezwykle ruchliwemu szczepowi słowiańskiemu Wendów, który już za czasów Karola Wielkiego zajmował się m. in. wyrobem pancerzy i oszczepów z metalu lanych. Uwzględniając fakt, że niemieckie górnictwo w okolicach miasta Goslar (w górach Harcu) datuje się od drugiej połowy X wieku, możemy uważać Złoty Stok za kolebkę górnictwa w tej części Europy.

Historia Złotego Stoku, początkowo jako osady a później jako miasta, nierozłącznie związana jest z istniejącą na tym terenie kopalnią złota. Bogactwo jak i rozwój samego miasta uzależnione było w ciągu dziejów od eksploatacji złóż, które zawierały mniej lub więcej cennego kruszcu. I tak w XVI wieku w wyniku eksploatacji bogatych złóż obserwujemy szybki rozwój kopalni, a tym samym miasta. Powstanie mennicy w której bito złote monety dla śląskich książąt (Legnicy, Brzegu i Zięmba), wzniesienie wielu kamienic mieszczańskich i budowli w stylu renesansowym, zachowanych do dnia dzisiejszego, najlepiej świadczy o tym świetnym okresie w historii Złotego Stoku. Mało tego, miasto staje się ośrodkiem silnie oddziaływającym na ożywienie życia gospodarczego tej okolicy.

Jednak z początkiem XVII wieku złóż wykazują coraz niższą zawartość złota, tak że około 1675 r. zaniechano całkowicie ich eksploatacji. Pociągnięto to za sobą prawie całkowity upadek miasteczka.

Następuje z kolei drugi okres historii Złotego Stoku, kiedy głównym

produktem przestaje być złoto, zastąpione przez rudy arsenowe. Niezwykle energiczny aptekarz Scharfenberg opracowuje metodę otrzymywania arsenu z rudy wydobywanej w miejscowej kopalni. W 1699

w likwidacji fabryki zapalek, winiarni, wapienników i tartaku parowego. Zakłady te zatrudniały około 300 osób. Urządzenia tych zakładów częściowo wywieziono i ślad po nich zaginął, a pozostałe wskutek braku konserwacji i zabezpieczenia powoli zaminowały się w złom. Te niekorzystne zjawiska gospodarcze nie mogły pozostać bez wpływu na ludność zamieszkującą miasteczko. Pewna liczba osób emigruje nie widząc w tej sytuacji żadnych perspektyw przed sobą.

Nasuwa się pytanie, jakie zmiany gospodarcze zachodzą obecnie i ja-

w tych zakładach. Z kolei ten wysoki procent zatrudnionych przy średniej płacy brutto na 1 pracownika wynoszącej 2.030 zł miesięcznie (dane za I półrocze 1957 r.) rzutuje na wielkość dochodów i strukturę wydatków, pieniężnych całej ludności.

Można by się zastanowić nad tym, jak długo zakłady „Arsen” będą decydującym czynnikiem w rozwoju ekonomicznym Złotego Stoku, perspektywa bowiem istnienia zakładów jest uzależniona od zasobów rud arsenowych. Zasadniczy więc problem, to zbadanie ich wielkości,

ne br. rozeszła się wieść, że złóż arsenu są w zasadzie wyczerpane, pewna część ludności uległa panice. Sporo górników zaczęło się zwalniać z pracy i przenosić do kopalni węgla. Wywołało to z jednej strony znaczne zakłócenie procesu produkcji — huta i zakłady przerobcze stały przed problemem surowca, z drugiej zaś strony kierownictwo zakładów musiało dokonać wielkiego wysiłku dla powstrzymania dalszego odpływu pracowników. W pewnej mierze miały na to wpływ również stosunkowo niskie płace pracowników kopalni, którzy nie zostali objęci podwyżką płac resortu Ministerstwa Górnictwa (zakłady podlegały Ministerstwu Przemysłu Chemicznego).

Jeśliby przeprowadzone badania geologiczne istotnie wykazały brak surowca, nie oznaczałoby to jednak jeszcze likwidacji zakładów. Istnieją jeszcze inne alternatywy. Jedną z nich byłaby wspólna z Czechami eksploatacja złóż arsenu położonych tuż po stronie czeskiej, tym bardziej że Czesi tych złóż w ogóle nie eksploatują. W wyniku dojścia do porozumienia zakłady zachowałyby dotychczasowy charakter produkcji, a korzyści byłyby na pewno obustronne. Inne możliwości polegają na wykorzystaniu zdolności produkcyjnych zakładów przez przestawienie ich na produkcję artykułów chemicznych, np. farb.

Na terenie Złotego Stoku znajdowała się dawniej cegielnia, o istnieniu której świadczą stojące do dzisiaj komin. Wspomniane badania

geologiczne miałyby także na celu określenie „wielkości zasobów” gliny w celu ewentualnej odbudowy tej cegielni. Od dokładnego bowiem określenia zasobów gliny uzależnione są kredyty na jej uruchomienie.

Oprócz możliwości rozwijania produkcji przemysłowej istnieją szczególne perspektywy w zakresie rozwoju rzemiosła. O dużym zapotrzebowaniu na tego rodzaju usługi świadczy chociażby fakt, że na 2800 mieszkańców nie ma w Złotym Stoku ani jednego krawca, stolarza czy zduna.

Podniesienie miasta na wyższy poziom gospodarczy wpłynie na jego uatrakcyjnienie dla ruchu turystycznego. Możliwości są tym większe, że leży ono na szlaku turystycznym prowadzącym górami z Paczkowa do Łądku Zdroju i Kłodzka. Można by było liczyć na turystów nie tylko z okolic Dolnego Śląska, lecz również i z Czechosłowacji. O realności tego zamierzenia mówi doświadczenie pierwszych lat powojennych, kiedy Złoty Stok był celem turystów z pobliskich miejscowości CSR.

Takie są zasadnicze problemy nurtujące mieszkańców Złotego Stoku. Świadczy to o przywiązaniu ludności do miasta, jakie się wytworzyło mimo wielu zaniedbań dopuszczonych przez czynniki odgórne. Dlatego też warto byłoby opierać Złotemu Stokowi więcej pomocy.

Co dalej ze Złotym Stokiem

JULIAN BUGIEL I EDWARD SZPYTMA

roku zakłada pierwszą w Europie fabrykę produkującą tę truciznę. Znanie wówczas sposoby otrzymywania złota, przy jego równocześnie niskiej zawartości w rudzie arsenowej, okazały się całkowicie nieopłacalne. Dopiero na przełomie pierwszej połowy XIX w., kiedy wchodzimy w okres nowoczesnej chemii, udaje się uzyskać złoto z wypalanki arsenikowych. Od tego momentu (przy jednoczesnym ciągłym doskonaleniu się procesów technologicznych) zaczęło uzyskiwać zarówno arsenik jak i złoto.

Z upływem lat co bogatsze złóża rud arsenu zostały wyeksploatowane do tego stopnia, że już w okresie międzywojennym staje problem rozwinienia nowych oddziałów produkcji, m. in. minii i farb w oparciu o sprowadzane surowce. Samo miasto jest wówczas bardzo bogate. Na ożywienie gospodarcze mają wpływ nie tylko same zakłady „Arsen”, ale również znaczne nasilenie ruchu turystycznego, o czym świadczą chociażby istnienie 7 hoteli. Rozwój ruchu turystycznego jest wynikiem położenia geograficznego miasta (wprawdzie bardzo ładnej części Sudetów), niedaleko Paczkowa leżącego nad sztucznym jeziorem oraz znanej miejscowości uzdrowskiej, jaką jest Łądek Zdrój.

Rok 1945. Złoty Stok bez walki zostaje zajęty przez wojska radzieckie. Miasto i położone na jego terenie zakłady przemysłowe nie ponoszą żadnych strat. Administrację miasta obejmują Polacy. W miejsce repatriowanej ludności niemieckiej przybywają Polacy z terenów położonych za Bugiem lub z Polski centralnej. Powoli uruchamia się istniejące obiekty produkcyjne — Zakłady „Arsen”, fabrykę zapalek, wapienniki, winiarnię i tartak parowy. Stwarza to jednocześnie duże zapotrzebowanie na — siłę roboczą. Bardzo dogodne warunki mieszkaniowe oraz realne perspektywy gospodarcze były dostatecznym powodem do osiedlania się ludności.

Realizacja planu 6-letniego, nastawiona głównie na budowę wielkich obiektów, pociągnęła niejednokrotnie za sobą likwidację niewielkich zakładów o charakterze przemysłowym, stanowiących źródło lub dodatkowy czynnik ekonomicznego rozwoju niewielkich miast i miasteczek na Ziemiach Zachodnich. Oddicie tej polityki gospodarczej na terenie Złotego Stoku przejawiało się



DYSKUSJA BEZ DYSKUTANTÓW

Jerzy Bogusławski zamieścił w Trybunie Ludu z 16. XI. br. artykuł pt. „Czy mamy program gospodarczy”. Artykuł jest pomyślny jako polemika z postulatami opracowania konkretnego programu gospodarczego. Postulaty takie pojawiły się dotychczas jedynie w łamach dwóch czasopism: „Życia Gospodarczego” (artykuł pt. „W sprawie programu gospodarczego na lata 1958-1960” z 5 maja br.) i „Polityki” (artykuł wstępny „O program — minimum” z 2 października br.).

Zadziwiająca zbieżność postulatów w obu artykułach sygnalizowana w 41 numerze „Życia Gospodarczego” z 13 października br. stwierdza w zakończeniu, że może wreszcie postulat w sprawie programu gospodarczego firmowane przez „Politykę” nie pozostać głosem wołającego na puszczy.

Innych głosów w sprawie programu gospodarczego kronikarze nie notują. Można więc było spodziewać się, że J. Bogusławski nie bę-

dzie polemizował z cieniem, tylko z zbieżnymi postulatami „Polityki” i „Życia Gospodarczego”, że je rozgromi, rozbił na drobny mak. Tymczasem nie. Autor zresztą powołuje się na dyskusję ale nie na konkretne dyskusyjności. W ten sposób polemizuje z tezami, które wymyślił sam, sugerując mimochodem czytelnikowi, że są to myśli niegrzecznych i naiwnych zwolenników skonstruowania programu gospodarczego. Cały artykuł „kręci się” wokół takich właśnie tez. Cytujemy najważniejsze z nich:

1. „...nie można się zgodzić z opinią, że plan i program to dwie różne rzeczy...”

2. „Trudno się jednak pogodzić z twierdzeniem, że właśnie te „modelowe” sprawy stanowią punkt ciężkości programu, że plan 5-letni to „coś innego”, że można go właściwie pominąć”. „Chodzi bowiem o to, że niekiedy wyrażane są opinie, jakoby program ten miał wyłączać albo prawie wyłączać „zajmować się” tzw. sprawami modelowymi”.

3. „...u źródeł takiego rozumowania leży jak się wydaje, czasami

może podświadome, lecz nieczym niezasadnione przekonanie, że sprawa zmian w modelu gospodarczym, stworzenie jakiegoś nowego systemu zarządzania, planowania i organizacji automatycznie rozwiąże nam wszelkie trudności”.

Może J. Bogusławski zechciałby wskazać źródła, z których te myśli pochodzą. Bo naprawdę we wspomnianych publikacjach (jedynych na zadany temat) odzukać ich nie byłismy w stanie.

Po „oczyszczeniu przedpola” dołączamy się do autora w zakończeniu, że:

1. program gospodarczy jest zarysowany — zupełnie wyraźnie,

2. długofalowy program gospodarczy będzie skonstruowany,

3. program gospodarczy na okres najbliższy jest przygotowywany.

Jasno i dialektycznie: jest, ale go nie ma. A kuku! (ja)

CZYŻ ROZWOJENIE JAŻNI?

W artykule Juliusza Strumińskiego pod tytułem „W perspektywie — istota zmiana cen, dziś program przejęciowy”, zamieszczonym w nr 37 „Polityki”, już na samym wstępie uderzyło mnie niezmiernie in-

teresujące sformułowanie. Autor — stwierdzając, że nie było u nas wyraźne sprzeciwianie polityki cen — pisze:

„Na ten stan rzeczy wpłynął przede wszystkim fakt „męlika” teoretycznego. Jak wiadomo, przez długie lata ekonomisci marksistowscy bądź negowali wpływ prawa wartości na naszą gospodarkę, bądź też nie doceniali rozmiarów tego wpływu. Stąd praktyka, która niejako żywiołowo zawsze uznawała działanie prawa wartości, była pozbawiona jakiegokolwiek teoretycznego oparcia”.

Znalazło się więc „usprawiedliwienie” dla praktyki — winni są ekonomisci. A może cykieli?

A może autor kieruje swoje słowa pod adresem wieloletniego Prezesa Państwowej Komisji Cen, który w tych sprawach zawsze miał i w dalszym ciągu jeszcze ma coś do powiedzenia?

A może zachodzi tu wypadek rozdwójenia jaźni?

W innym miejscu artykułu autor charakteryzując dynamikę kształtowania się struktury cen uważa za swój obowiązek podkreślić „nie nadążanie zmian cen za zmianami kosztów — przede wszystkim za zmianami płac”. Ciekawe, jak przedstawiałyby się sytuacja świata pracy, gdyby zmiany cen szły w parze ze zmianami płac. Wątpię, czy ktokolwiek — poza autorem, w którego słowach można wyczuć żal z powodu tego nienadążania — byłby z takiego obrotu rzeczy zadowolony.

Ale to tylko dygresje. W sumie z rozważaniami i postulatami autora można by się zgodzić. Trafna wydaje się również charakterystyka i ocena przyczyn, jakie spowodowały wykrzywienie struktury cen i m. in. przyniosły w skutkach dzisiejszą trudną sytuację kraju.

soł

„Swoiste curiosum” i obsesje

MOTTO:

Oto fregata krąży po morzu, poszukując śladów korwety od której oddzieliła ją burza. Dzień jasny, słoneczny. Zawiadomiono o gwałtownym białym, że się ukazał statek na powierzchni morza. Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku. Oficerowie i majtkowie widzieli wyraźnie rozbitek dających sygnały o ratunek. Admirał wysłał łódź. Złaga jej dokładnie rozróżnia towarzyszy, którzy wyciągają ręce do niej, słyszy nawet z daleka szmer głosów, zbiorowo wołających o pomoc. Ale kiedy podjechano z bliska, zniknęła kilka gałęzi liściem pokrytych... Poddanie ideałom, będącym u osobliwym nastrojem wydawało odpowiedni rezultat: ludzie widzieli to co widzieć pragnęli...

Są fakty jeszcze bardziej znamienne.

(L. Krzywicki „Umysłowość gromady”).

Nie często się zdarza, że polemista daje przeciwnikowi taką okazję do repliki, jak to czyni Andrzej Werblan w nocie „Wiersze nie na wagę” („Polityka” nr 38). W moim (Bielinka) przeglądzie prasy (zamieszczonym w nr 44 „Życia Gospodarczego”) zacytowałem jako „wiersze na wagę złota” przypomnianie przez Andrzeja Werblana słowa Róży Luksemburg, że „Wolność jest zawsze wolnością dla innej myśli”. Wyraziłem lekką żal, że słowa Róży znalazły się w

tradycyjnym nawiasie, „Wprawdzie (...) ale” i napisałem:

„Ale doskonały komentarz do słów Róży znajdujemy w „Przeglądzie Kulturalnym”. Adam Schaff w artykule poświęconym sprawom najbliższej przyszłości, a zatytułowanemu „PZPR a nie BBWR”, w artykule poświęconym jednemu ideologicznemu partii pisze:...”

I dalej następuje duży, 81 (słownie) i dosłownie — osiemdziesiąt — jedenwierszowy cytat z wywodów Adama Schaffa. Cytat nie przery-

wany — podkreślam to z całą mocą — ani razu i ani jednym moim (Bielinka) słowem komentarza. Również po cytacie z artykułu Adama Schaffa nie ma w moim przeglądzie ani jednego słowa komentarza. Cytat bowiem kończy mój przegląd. Podkreślam także, że cudzoziemcy nie zostali w druku opuszczeni.

A oto jaką karierę zrobili słowa Adama Schaffa, przypisane nieopatrnie Bielinkowi. Andrzej Werblan pisze:

„Swoiste curiosum stanowi próba kreowania Lenina co najmniej na obrońcę zasady grupowości w partii, jaką podejmuje Bielinek, oczywiście „na marginesie” artykułu A. Schaffa z „Przeglądu Kulturalnego”.

Chodzi o dyskusję w sprawie jednoci partii na X Zjeździe. Bielinek pisze: „Rzecz jasna... (następują słowa wyjęte z cytatu A. Schaffa).

Dalszy wywód Bielinka może sugerować, że Lenin uważał wybory w partii, czyli podział partii na grupy, za immanentną cechę demokracji wewnątrzpartijnej, bez której ta ostatnia staje się „zwykłą li-

pa”. „Bielinek nie zauważył widocznej różnicy między normalną i codzienną dyskusją na gruncie marksizmu...”

I dalej, po wielu pouczeniach kryjących w sobie nagane dla obrońcy grup w Partii (którym ma być oczywiście nie Lenin ani Schaff lecz Bielinek), Werblan kończy:

„Przemówienie Lenina w sprawie poprawki Riazanowa w żadnym wypadku nie upoważnia do twierdzenia, że Lenin uważał podział na grupy i różne platformy polityczne za szczytowy atrybut demokracji wewnątrzpartijnej, bez którego nie ma „swobody dyskusji w ramach marksizmu”. Myśli Lenina są niewątpliwie na wagę złota, ale o komentarzu Bielinka tego powiedzieć nie można”.

Doprawdy nie chodzi mi o bezpodstawne oskarżenie mnie o obronę grupowości w partii, co po X Plenum może mieć dla mnie pewne znaczenie. Nie chodzi mi o zmianę adresu tego oskarżenia — z Bielinka na Adama Schaffa. (Będzie w tej sprawie zapewne wyjaśnienie autora, że po prostu przeoczył cu-

dzysłowy i słowa Schaffa przypisał błędnie — mnie).

Istota tego zabawnego „qui pro quo” tkwi przecież w powiedzeniu Krzywickiego, iż „ludzie widzieli, to co widzieć pragnęli”, oraz w tym, że atakowane przez Werblana słowa przypisane nie mnie, lecz członkowi zespołu „Polityki” A. Schaffowi przestają z miejsca być „swoim curiosum”.

Sami czytelnicy rozumiecie, jak przezbawnie brzmią pouczenia A. Werblana skierowane nie do Bielinka, lecz pod adresem A. Schaffa.

Ten drobny błąd (przeoczony cudzoziemcy) jest bardzo znamienity. Stanowi cenny materiał do studiów psychosocjologicznych. To co Werblan wyczytał — unosi się niejako w powietrzu, tkwi w aktualnej obsesji, na którą cierpi wielu z nas. (Zaczyna dostępną tę obsesję zarówno Marek jak i MFR). Przypadek ten mieści się w pewnej prawidłowości. Ot co!

Obsesją też (a może i krzyżną mentorską) tłumaczę sobie fakt, że Werblan w polemice ze mną czuje się w obowiązku wyjaśnić, iż spo-

łeczna własność środków produkcji i centralne planowanie nie są beznadziejnie złe. (Przecież mówimy o różnych modelach w ramach systemu socjalistycznego — rzecz zdawałoby się elementarna).

Obsesja jest źródłem oskarżenia zespołu „Życia Gospodarczego” o wędkarstwo i uprawianie czystej ekonomii, jak najdalej od wszelkiej polityki (choć zarzut o obronę grup stoi z tym w rażącej sprzeczności).

Nie inne przyczyny ma przeświadczenie o powszechnym ataku na „Politykę”, doszukiwanie się „przekasów” pod adresem polityków sięgających po pióro itp.

*

Towarzyszu Werblan. Ja naprawdę cenię polityków sięgających po pióro. To bardzo ważne. Czyż możliwa byłaby na dalszą metę wielka dyskusja ideologiczna bez udziału aktualnego kierownictwa politycznego? Wszak taka dyskusja musiałaby się szybko skończyć.

Tadeusz Kowalik (Bielinek)

ŻYCIE gospodarcze
Redakcja:
Warszawa, ul. Hoża 35.
Telefony: Redaktor Naczelny — 805-28.
Sekretariat Redakcji — 806-28, Redaktorzy — 803-82, Centrala — 803-13, 800-71.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Włodzisław Brus, Andrzej Brzeski, Stefan Frenkel, Jan Głowczyński, Tadeusz Jaworski, Mieczysław Kaban, Tadeusz Kowalik, Kazimierz Łaski, Mieczysław Mieszkowski, Juliusz M. Kubiński (sek. red.), Zofia Morecka, Marian Ostrowski, Józef Palecki, Roman Perelakowicz, Grzegorz Piskorski, Antoni Rajkiewicz, Władysław Sadowski, Hubert Sukienicki (z-ca red. nac.), Jan Werner, Janusz G. Zieliński.

WARUNKI PRENUMERATY: rocznie 104 zł, półrocznie 52 zł, kwartalnie 26 zł. Cena i egz. 2 zł. Zamówienia i prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze, instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Zamówienia na prenumeratę należy składać do dnia 10-m-cia poprzedzającego okres prenumeraty. Niezamówionych rekwizytów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: „Polskie Wydawnictwa Gospodarcze” Przedsiębiorstwo Państwowe. Skład i druk RSW „PRASA”, ul. Marszałkowska 3/A. Nakład 10000. Zam. 2152, B-4.